

HAN Z ISLANDYI

W drukarni Synów St. Niemiry, Warszawa, plac Warecki 4.

WIKTOR HUGO

HAN Z ISLANDYI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

~~~~~  
**TOM PIERWSZY**  
~~~~~

BIESIADA LITERACKA.



173535

1

K-226/86

I.

- Czy widziałeś go? Kto go widział?
— Ja nie.—Któż więc?—Niewiadomo.
Sterne „Tristram Schandy“.

— Otóż do czego to prowadzi miłość, sąsiedzie Niels; biedna Guth Sterseu nie leżałaby na tym czarnym kamieniu, jak ryba morska, którą pozostawiły odpływające fale, gdyby zajmowała się tylko zbijaniem barki lub naprawianiem sieci swego ojca, naszego starego towarzysza. Niechaj Święty Usuph, rybak, pocieszy go w jego smutku.

— A jej narzeczoną, Gill Stadt — odpowiedział głos ostry i drżący — ten piękny młodzieniec, którego obok niej widzicie, nie byłby tu napewno, gdyby, zamiast kochać się w Guth i szukać szczęścia w tych przeklętych kopalniach w Roeraas, przepędził młodość kołyszając swego brata pod okopconymi belkami chaty.

Sąsiad Niels, do którego pierwsze słowa zwrócone były, przemówił z kolei:

— Wasza pamięć — rzekł — starzeje się razem

z wami, matko Olly; Gill przecie nigdy nie miał brata, i dlatego to właśnie straszną musi być boleść wdowy Stadt, bo chata jej dzisiaj pustą jest zupełnie. Jeżeli zechce spojrzeć w niebo, aby tam szukać pociechy, to spotka na drodze dach starej chaty, gdzie wisi jeszcze kołyska osierociała po dziecku, co wyrosło na młodzieńca i zginęło tak marnie.

— Biedna matka — odparła stara Olly — bo co do jej syna, to on sam sobie winien: po co mu było zostawać górnikiem w Roeraas?

— Te przekłete kopalnie—rzekł Niels—za każdą dobytą z nich bryłę miedzi, człowieka biorą nam w zamian. Jak wy o tem sądzicie, kumie Braal?

— Górnicy, to istni szaleńcy — odparł rybak.— Chcąc żyć, ryba nie powinna wychodzić z wody a człowiek wchodzić do ziemi.

— Ale czyż praca w kopalniach—zapytał młody człowiek z tłumu—była dlań niezbędna, aby otrzymać narzeczoną?

— Nie należy nigdy narażać życia — przerwała stara Olly—dla uczuć, które mniej od niego są warte i nie mogą go zapelnąć. Piękne mi to ślubne łożo, jakie Gill zgotował dla swojej Guth!

— Czy ta młoda dziewczyna—zapytał jakiś ciekawy — utopiła się z rozpacz po śmierci swego kochanka?

— Kto wam to powiedział!? — zawołał silnym głosem żołnierz, stojący w tłumie. — Ta dziewczyna, a znałem ją doskonale, była wprawdzie narzeczoną młodego górnika, którego niedawno zgruchotał odłam

skały w podziemiach Storwaadsgrube, blisko Roeraas, ale była także kochanką jednego z mych kolegów. I kiedy właśnie przed dwoma dniami chciała cichaczem dostać się do Munckholm, aby tam obchodzić z kochankiem śmierć narzeczonego, łódka, na której płynęła, rozbiła się o skałę, wskutek czego śmierć znalazła.

Słowa te wywołały krzyk ogólny. — To niepodobna, panie żołnierzu! — wołały stare kobiety, młodsze milczały, a sąsiad Niels powtórzył ironicznie rybakowi Baal swe głębokie zdanie:

— Otóż, do czego to prowadzi miłość!..

Żołnierza już miały rozgniewać na dobre przezące wykrzyki kobiet, nazwał je bowiem „staremi czarownicami z jaskini Quiragoth“, a one nie myślały znieść spokojnie tak dotkliwej obelgi, gdy nagle, głos ostry i rozkazujący słowami: — Cicho, cicho, gaduły! — położył koniec rozprawie. Wszyscy umilkli jak kury, kiedy pośród ich gdakania, rozlegnie się pianie koguta.

Przed przystąpieniem do dalszego opowiadania powyższej sceny, uważamy za niezbędne opisać miejsce, w którym się odbywała. Było to, jak czytelnik odgadł już zapewne, w jednej z tych budowli, jakie litość i przezorność społeczna poświęca dla ciał zmarłych a nieznanym. Za życia nieszczęście zwykle bywa ich udziałem; dziś około nich cisną się obojętni ciekawcy, posepni lub życzliwi spostrzegacze, a często i przyjaciele lub łzami zalana rodzina, której długi niepokój pozostawił tylko bolesną nadzieję. W epoce tak od nas odległej i w kraju mało jeszcze ucywili-

zowanym, dokąd przeniosłem czytelnika, nie powzięto jeszcze myśli urządzenia, jak to bywa po naszych miastach, domów dla umarłych wesoło złowieszczych i wykwintnie żałobnych. Światło dzienne nie przechodziło przez szerokie okna, rozrzucając promienie wzdłuż artystycznie rzeźbionego sklepienia i oświetlając kamienne łoża, na których, jak gdyby dla dostarczenia umarłym pewnych wygod życia, zrobiono wezgłowania, niby do snu służące. Jeżeli się otwały drzwi do mieszkania dozorecy, wtedy oko, znużone widokiem nagich i ohydnych trupów, nie spoczęło, jak dzisiaj, na eleganckich meblach i wesołych dziatkach. Śmierć panowała w całej brzydocie, w całej okropności; nie starano się przystroić jej wychudłego skieletu w ozdoby i wstążki.

Sala, po której przesuwiał się tłum, była obszerna i ciemna, przez co się jeszcze obszerniejszą zdawała. Światło wkradało się tam zaledwie przez wąskie i niskie drzwi, lub otwór w suficie wybity, przez który, stosownie do pory roku, padał wprost na łoża umarłych deszcz, grad albo śnieg północny. Salę tę rozdzielały przez całą jej długość żelazne baryery. Publiczność wchodziła przez drzwi do pierwszej połowy, w drugiej zaś stało równoległym szeregiem sześć tapczanów z czarnego granitu. Boczne drzwiczki, do każdego tapczanu oddzielnie wiodące, służyły dla dozorecy lub jego pomocnika; resztę zaś budynku, który jedną stroną o morze się opierał, zajmowało ich mieszkanie. Górnik i jego narzeczona leżeli na granitowych łożach; korupcyja widoczną już była na ciele młodej dziewczyny, które pokrywały purpurowe i sine plamy

wzdłuż członków, na naczyniach krwistych. Rysy twarzy Gilla zdawały się być szorstkie i ponure, ale trup jego tak był okropnie pokaleczony, że nikt nie zdołałby osądzić, czy były kiedyś rzeczywiście tak piękne, jak mówiła stara Olly. Wobec tych to szczątków zeszepeczonych i pośród milczącego tłumu, rozpoczęła się rozmowa, którąśmy tutaj wiernie przytoczyli.

W najciemniejszym zakątku sali, na połamanym stołku, siedział starzec wysoki i chudy; zdawał się on nie zwracać na gwar i hałas żadnej uwagi, aż do chwili, w której podnosząc się nagle zawołał: — Cicho, cicho, gaduły! — poczem żołnierza ujął za ramię.

Wszyscy umilkli: żołnierz odwrócił się i parsknął głośnym śmiechem na widok szczególnego starca, którego twarz wychudła, włosy rzadkie i w nieładzie, długie palce i wreszcie obcisłe odzienie, ze skóry renifera uszyte, w zupełności usprawiedliwiały tak wesołe przyjęcie. Jednocześnie pomiędzy kobietami, zmieszanymi przez chwilę, odezwały się szepty:

— To dozorea Spladgestu *)! To odźwierny umarłych! szatański Spiagudry! przeklęty czarnoksiężnik...

— Cicho, bajczarki, cicho! Jeżeli dzisiaj dzień sabbatu, to śpieszcie się do waszych miotek, bo inaczej same polecą. Pozostawcie w spokoju tego godnego szacunku potomka bożka Thora.

Potem Spiagudry, usiłując nadać miły wyraz swojej twarzy, zwrócił się do żołnierza:

— Mówiliście, mój zuchu, że ta nędzna kobieta...

*) Tak się nazywa dom umarłych w Drontheim.

— Stary hultaj!— odezwała się półgłosem Olly— jesteście dla niego nędznymi kobietami, ponieważ nasze ciała, wpadając w jego pazury, przynoszą mu po dług taksy tylko trzydzieści askalinów wówczas, kiedy dostaje czterdzieści za trupa każdego mężczyzny.

— Cicho, stare baby! — powtórzył Spiagudry. — Te córki dyabelskie są jak ich kociołki; jak tylko się rozgrzeją, zaraz szumieć muszą. Powiedźcie mi, mój dzielny wojaku, wszak wasz kolega, którego Guth była kochanką, z rozpaczy, że ją utracił, zapewne życie sobie odbierze?

Po tych słowach, wybuchło oburzenie długo powstrzymywane.

— Słyszycie go, tego starego poganina!? — zawołało naraz dwadzieścia ostrych i krzykliwych głosów — on pragnąłby widzieć jednym mniej z żyjących, aby zarobić czterdzieści askalinów, które mu śmierć przynosi.

— A gdyby tak było?—odparł odźwierny Spladgestu. — Czyż nasz łaskawy król i pan, Krystyan V, którego niechaj Bóg ma w swej świętej opiece, nie uznał się przyrodnym protektorem i opiekunem wszystkich górników, ażeby pozostałe po ich śmierci nędzne mienie wzbogacało skarb królewski?

— To za wiele honoru dla króla — rzekł rybak Braal — żeby porównywać skarb królewski do skrzyni w waszej kostnicy, a jego osobę do was, sąsiedzie Spiagudry.

— Sąsiad? — odpowiedział dozorca obrażony tą poufałością — wasz sąsiad! Powiedźcie raczej wasz gospodarz, bo bardzo być może, iż kiedyś, mości dzie-

dzieu łódki, pożyczę wam na tydzień którego z moich łózek kamiennych.

Zresztą — dodał ze śmiechem — jeżeli mówiłem o śmierci owego żołnierza, to dlatego tylko, że chciałbym widzieć uwieczniającym się zwyczaj samobójstwa w wielkich i tragicznych namiętnościach, które kobiety tak wzbudzać umieją.

— A więc, stary trupie, pilnujący trupów! — zawołał żołnierz—czego chcesz ode mnie, żeś twarz swą przystroił przyjemnym skrzywieniem, podobnem do ostatniego uśmiechu wisielca!?

— Wybornie, mój zuch! — odparł Spiagudry — zawsze byłem zdania, że więcej znaleźć można dowcipu pod kaskiem żandarma Thurna, co zwyciężył diabła językiem i mieczem, aniżeli pod mitrą biskupa Isleifa, historyka Islandyi, albo pod rogatą czapką profesora Schoeninga, który opisał naszą katedrę.

— W takim razie, jeśli mi chcesz wierzyć, ty stary, skórzany worku, to porzuć dochody, co ci je twoja kostnica przynosi, a idź i sprzedaj się do gabinetu rzadkości wice-króla, w Berghen. Przysięgam ci na świętego Belphegora, że tam rzadkie zwierzęta na wagę złota kupują. Ale powiedz, czego żądasz ode mnie?...

— Jeśli ciała, które nam przynoszą, znalezione są w wodzie, w takim razie musimy połowę taksy odstąpić dla rybaków. Chcę cię przeto prosić, dostojny potomku żandarma Thorna, abys dał radę swemu nieszczęśliwemu towarzyszkowi. Niechaj się nie topi, a wybierze inny rodzaj śmierci; musi mu to być wszystko jedno i nie pragnąłby zapewne, umierając,

skrzywdzić nieszczęśliwego chrześcijanina, który później da gościnność jego trupowi, jeżeli jednak utrata Guthy posunie go tego czynu rozpaczy.

— W tem się właśnie mylisz, ty litościwy i gościnny dozoreo. Kolega mój nie będzie miał honoru doświadczać gościnności w twej zachęcającej oberży o sześciu łózkach. Czy sądzisz, że on się jeszcze nie pocieszył z jaką inną Walkiryą, po śmierci swojej ostatniej kochanki? Co prawda, to mu się już dawno ta wasza Guth sprzykrzyła.

Na te słowa burza, którą Spiagudry zwrócił przez chwilę na swoją głowę, straszniejsza tym razem, skierowała się na nieszczęsnego żołnierza.

— Jakto, niegodziwczel! — wołały stare baby—to w ten sposób nas zapominacie! I kochajże tu teraz podobnych hultajów!

Młode milczały jeszcze; kilka z nich nawet, mimo swej woli, zauważyło, że ów hultaj miał nader dzielną minę...

— Ho! ho! — wyrzekł żołnierz — czy to jest próba sabbatu? Straszna musi być męczarnia Belzebuba, jeśli jest skazany chociaż raz na tydzień słuchać podobnego chóru!

Niewiadomo, jakby się ta nowa burza skończyła, gdyby w tej chwili ogólnej uwagi nie zwrócił na siebie hałas z zewnątrz pochodzący. Krzyk zwiększał się ciągle i wkrótce rój chłopaków nawpół nago, biegnących z wrzaskiem około zakrytych mar przez dwóch ludzi niesionych, wkroczył tłumnie do Spladgestu.

— A skąd to? — dozoreca zapytał tragarzy.

— Z płaszczyzn, z pod Urchtal.

— Ogdypiglap! — zawołał Spiagudry.

Jedne z bocznych drzwiczek otworzyły się i wyszedł człowiek małego wzrostu, rasy lapońskiej, ubrany w odzież ze skóry i dał znak tragarzom, aby za nim podążali. Spiagudry towarzyszył im i drzwi zawarły się za nim; ciekawa tłuszcza miała czas odgadywać, z długości ciała, leżącego na marach, czy przyniesiono mężczyznę, czy kobietę.

Było to przedmiotem różnych przypuszczeń, kiedy Spiagudry ze swym pomocnikiem zjawili się w drugiej połowie sali, niosąc trupa mężczyzny, którego rzucili na jedno z łóż granitowych.

— Dawno nie miałem w ręku tak pięknego ubrania — rzekł Ogdypiglap; później, kiwając głową i podnosząc się na końcach palców, zawiesił nad umarłym wykwintny mundur kapitański. Głowa trupa była okropnie zeszpeconą a całe ciało krwią pokryte; odźwierny przeto zlał je kilkakrotnie wodą z rozbitego kubła.

— Na Belzebuba! — zawołał żołnierz — to oficer z mojego pułku, ale kto to jest? Byłżeby to kapitan Bollar... z rozpaczy, że wuja stracił? Ba, toż przecie po nim spadek dostanie! Baron Randmer, ten, co wczoraj przegrał swój majątek? Ale przecie on go jutro odegra wraz z zamkiem swego przeciwnika. Miałżeby to być kapitan Lory, którego pies się utopił? albo skarbnik Stunek, co go żona zdradza? Ależ, doprawdy, w tem wszystkim nie widzę żadnego powodu, ażeby sobie zaraz w łeb wypalić.

Tłum bezustannie wzrastał. Gdy się to działo, jakiś młody człowiek, przejeżdżając koło portu, uj-

rzawszy tak liczny napływ ludu, zsiadł z konia, oddał cugle służącemu i wszedł do Spladgestu. Ubrany był w skromny ubiór podróżny, z szablą przy boku, — a jego ramiona okrywał obszerny płaszcz zielonego koloru; czarne pióro, przyczepione do kapelusza brylantową spinką, spadało na szlachetną twarz nieznanego, kołysząc się nad wyniosłym jego czołem, otoczonym długimi, ciemnymi włosami. Jego buty i ostrogi, błotem okryte, świadczyły, że z dalekiej przybywał drogi.

Gdy wchodził, stojący w tłumie człowiek krępy i niski, równie jak on w płaszcz owinięty, z ogromnymi na rękach rękawicami, mówił do żołnierza:

— I któż to powiedział, że on sam się zabił? Ten człowiek nie popełnił samobójstwa, ręczę wam za to, podobnie jak i dach waszej katedry nie spalił się sam przez się.

Jak obosieczny miecz dwie naraz może zadawać rany, tak słowa powyższe dwie wywołały odpowiedzi.

— Naszej katedry! — rzekł Niels — właśnie ją pokrywają miedzianą blachą. Powiadają, że ją ten nędznik Han podpalił, aby przez to mieli robotę górniczą, w liczbie których znajdował się jego protegowany Gill Stadt, którego tu oto widzicie.

— Do diabła! — zawołał ze swej strony żołnierz — któż to śmie utrzymywać wobec mnie, drugiego muszkietera z garnizonu munckholmskiego, że ten człowiek w łeb sobie nie wypalił?

— Zamordowano go — odparł zimno mały człowieczek.

— Patrzcie, jaka wyrocznia! Twoje szare oczki

nie lepiej widzą jak ręce, które, mimo lat, w grube ubierasz rękawice.

W oczach niskiego człowieczka zajaśniała błyskawica, a po chwili rzekł, gniew tłumiąc:

— Módl się do swego patrona, żołnierzu, aby te ręce nie zostawiły kiedyś śladu na twojej twarzy.

— A więc, chodźmy zaraz! — zawołał żołnierz z uniesieniem. Później, miarkując się nagle, dodał: — Teraz nie można, bo nie godzi się mówić o pojedynku wobec umarłych.

Mały człowiek zamruczał kilka słów w jakimś nieznanym języku i znikł za chwilę.

— Tak, tak, znaleziono go na płaszczyznach Urechta! — wołano zewsząd.

— Na płaszczyznach Urechta! — rzekł żołnierz. — Tam właśnie kapitan Dispolsen musiał wylądować, wracając dziś rano z Kopenhagi.

— Kapitan Dispolsen nie przybył jeszcze do Munckholmu — odezwał się głos jakiś.

— Powiadają, że Han z Islandyi właśnie się tam włóczy — dodał drugi.

— W takim razie — rzekł żołnierz — jeśli to jest kapitan, to być może, że Han go zamordował, boć przecie, jak to wszystkim wiadomo, Islandczyk ten zabija w sposób tak dyabelski, że ofiary jego mają często pozór samobójstwa.

— Co to za człowiek ten Han? — spytano.

— To olbrzym — rzekł jeden.

— To karzeł — powiedział drugi.

— Czyż go nikt nie widział? — zapytał ktoś z tłumu.

— Cicho! — rzekła stara Olly — trzy tylko osoby, jak powiadają, słowa z nim ludzkie zamieniły: ten potępiony Spiagudry, wdowa Stadt, i... — ale ten żył nieszczęśliwie i smutnie zakończył, — oto Gill Stadt, którego tutaj widzicie. Ale sza!

— Sza! — powtórzono zewsząd.

— Teraz — zawołał żołnierz — jestem pewny, że to jest kapitan Dispolsen; poznałem bowiem stalowy łańcuch, który nasz więzień, stary Schumacker, dał mu przed jego wyjazdem.

Młodzieniec z czarnym piórem przerwał żywo milczenie.

— A więc to jest napewno kapitan Dispolsen? — zapytał.

— Bez żadnej wątpliwości, knę się na zasługi Belzebuba! — odparł żołnierz.

Młody człowiek wyszedł z pośpiechem.

— Niechaj zajdzie łódka — rzekł do swego służącego.

— Ależ, panie, a jenerał...?

— Zaprowadzisz mu konie. Ja pojedę jutro; czyż nie jestem panem siebie? No, dalej, słońce już zachodzi, a mnie się śpieszy; prędko łódkę!

Służący był posłuszny i długo wiódł oczami za swym młodym panem, który się szybko od brzegu oddalał.

II

— Usiądę przy was, a wy, dla zabicia czasu, opowiadać będziecie jaką zajmującą historję.

Maturin „Bertram“.

Wiadomo już czytelnikowi, że jesteśmy w Drontheim, jednym z czterech głównych miast Norwegii, aczkolwiek nie było ono rezydencją wice-króla. W epoce tej powieści, w roku 1699, Królestwo Norwegii związane jeszcze było z Danią pod rządami wice-królów, zamieszkujących w Berghen, mieście daleko większem, bardziej posuniętem na południe i piękniejszym, niż Drontheim, pomimo pogardliwego nazwiska, jakie mu dawał sławny admirał Tromp.

Drontheim bardzo się przyjemnie przedstawia, gdy się przybywa przez zatokę, której miasto nadaje nazwisko. Port, dość zresztą obszerne, chociaż okręty nie w każdej porze wchodzić doń mogą, wyglądał jednak jak długi kanał, mający z prawej strony okręty duńskie i norweskie, z lewej statki cudzoziemskie, odpowiednio do przepisanego porządku. W głębi, za portem,

Han z Islandyi.



widać rozłożone w żyznej dolinie miasto, nad którym wznoszą się wysokie wieżeczki katedry. Kościół ten, jedno z najpiękniejszych dzieł architektury gotyckiej, jak o tem można sądzić z książki profesora Schoeninga (o którym niedawno wspomniał Spigudry), przed licznymi pożarami, które go zniszczyły, na najwyższym szczycie wieżycy miał krzyż biskupi, jako oznakę odróżniającą katedrę od arcybiskupstwa loretańskiego w Drontheim. Niżej miasta rysowały się w oddaleniu białe i wyniosłe szczyty gór Kole, podobne do ostrych liści starożytnej korony.

Na środku portu, na strzał armatni od brzegu, wznosi się na skale, rozbijającej morskie bałwany, forteca Munckholm, ponure więzienie, w którym zamknięty był wówczas więzień, sławny zarówno z długoletniej pomyślności i wielkiego znaczenia, jak i z nagłej nielaski i upadku.

Schumacker, niskiego pochodzenia, obsypany był łaskami swego pana, a później z krzesła wielkiego kanclerza Danii i Norwegii zrzucony na ławę zdrajców, powleczoney na szafot i dziś, przez szczególną tylko łaskę, znajdował się w samotnym lochu, na ostatnim krańcu obojga królestw. Figury, które wyniósł wysoko, obaliły go, a nie miał prawa krzyknąć na niewdzięczność. Mógłże on bowiem narzekać, że pod jego nogami załamały się stopnie, które umieścił wysoko, aby się sam mógł wyżej jeszcze podnieść?

Założyciel szlacheckiego patrycyatu w Danii, widział z głębi swojego wygnania, jak przez niego wyniesieni dygnitarze rozdzielali między siebie jego dostojęstwa i godności. Hrabia Ahlefeld, śmiertelny nieprzy-

jacieli Schumackera, odziedziczył po nim wielkie kawalerstwo; generał Arensdorf, jako wielki marszałek, rozporządzał stopniami wojskowemi; biskup Spollyson spełniał obowiązki inspektora uniwersytetów. Jednym z nieprzyjaciół Schumackera, który nie jemu zawdzięczał swoje wyniesienie, był Ubryk-Fryderyk Guldenlew, wice-król Norwegii, naturalny syn króla Fryderyka III; ten właśnie był ze wszystkich najsłabszym.

Ku tej smutnej skale munckholmskiego zamku, kierowała się powoli łódka, na której płynął młody nieznajomy w kapeluszu, ozdobionym w czarne pióro. Słońce kryło się szybko po za samotną fortecę, co przecinała jego promienie tak już horyzontalne, że włóścianie na odległych wzgórzach Larsynu mogli widzieć pomiędzy krzakami niepewny cień placówki, stojącej na najwyższej wieżycy munckholmskiego zamku.

III

Jeżeli nauczę ją pojmować mowę moich oczu; jeżeli, gdy one wyrażać będą czułość, przestanie na mnie patrzeć z miną... — jakże ja powiem? z tak ograniczoną, tak bezmyślną; jeżeli wreszcie na mój widok spuści swe oczy: wtedy wygrałem sprawę.

Kotzebue „Adelaida von Wolfingen“.

Ach! moje serce nie mogło być dotkliwiej zranione...! Młody człowiek niegodnych obyczajów... ośmielił się rzucić na nią spojrzenia, a te skalały jej czystość. Klaudyo! na samą myśl tę, zmysły utracam. *Lessing.*

— Andreew, idź powiedz, że za pół godziny zadzwonią na gaszenie światła. Sorsyll zastąpi Ducknesa przy zwodzonym moście, a Moldivins pójdzie na platformę wielkiej wieży. Tylko czuwać starannie od strony wieżyczki Lwa Szlezwiskiego. A proszę nie zapomnieć o siódmej godzinie wystrzelić z działa, aby podniesiono łańcuchy portu. Ale nie, bo jeszcze ma

przybyć kapitan Dispolsen; potrzeba raczej zapalić ogniska i sprawdzić, czy się pali latarnia morska na Walderhogu, jak to już dzisiaj rozkazałem. Nade wszystko przygotować kolację dla kapitana. Ale, ale, zapomniałem... Toric-Belfart, drugi muszkieter pułku, pójdzie na dwa dni do aresztu za to, że cały dzień dzisiaj był nieobecny.

Tak mówił stary sierżant pod czarnem i okopconem sklepieniem kordegardy w Munckholm, mieszczącej się w niskiej wieży po nad pierwszą bramą zamku.

Żołnierze, do których słowa te były skierowane, porzucili grę albo łóżka, aby wykonać jego rozkazy, poczem nastąpiła cisza.

W tej chwili dał się słyszeć z zewnątrz miarowy i regularny odgłos wioseł.

— Otóż nakoniec i kapitan Dispolsen! — rzekł sierżant, otwierając zakratowane okienko, wychodzące na zatokę.

W samej rzeczy, pod żelazne wrota przybiła łódka.

— Kto idzie? — zapytał sierżant ochryplym głosem.

— Otwórzcie! — odpowiedziano — pokój i bezpieczeństwo.

— Niewolno wejść; czy macie na to pozwolenie?...

— Tak jest.

— Zaraz ja to sprawdzę. Jeżeli kłamiesz, mój panie, to klę się na zasługi mego świętego patrona, poznasz się z wodą tej zatoki.

Poczem, zamknawszy okienko i obróciwszy się, wyrzekł:

— To jeszcze nie kapitan.

Zajaśniało światło po za żelaznymi wrotami, zakrzypiały zasuwę, podniesiono zastawy i nareszcie brama się otworzyła, a wtedy sierżant zbadał pergamin, który mu podał nowoprzybyły.

— Wejdz pan — rzekł. — Zatrzymaj się jednak — dodał opryskliwie — pozostaw wpierw spinkę od swego kapelusza. Nie wchodzi się do więzienia stanu z klejnotami. Przepis w tym względzie mówi, że tylko król i członkowie rodziny królewskiej, wicekról i jego rodzina, biskup i dowódca garnizonu, są z tego wyjęci. A pan, zapewne, nie jesteś żadną z tych osób?

Młody człowiek, mileząc, odpiął spinkę i rzucił ją jako zapłatę rybakowi, który go przywiózł. Ten ostatni, obawiając się, iżby nieznajomy nie cofnął swej hojnej ofiary, wyruszył śpiesznie na morze, aby być jak najdalej od swego dobroczyńcy.

Sierżant, szemrząc na nieroztropność kanclerstwa, które szczerze rozdawało podobne pozwolenia, założył ciężkie zasuwę, a po chwili powolny łoskot jego wysokich butów rozlegał się na schodach, wiodących do kordegardy. W tym samym czasie, nieznajomy, zarzuciwszy płaszcz na ramię, przebiegł szybko pod czarnymi sklepieniami wieży, przez obszerną salę broni i skład artylerji, gdzie leżało kilka zdemontowanych śmigownic, które dzisiaj widzieć można w Muzeum Kopenhaskiem. Tam energiczny okrzyk płacówki kazał mu się oddalić. Doszedł nareszcie do zwodzonego mostu, który podniesiono po rozpatrzeniu jego pergaminu. Dalej, mając za sobą żołnierza, prze-

szedł po przekątnej i jakby obznajmiony z miejscowością, jedno z czterech podwórz, otaczających jakby bastiony główny dziedziniec, pośród którego wznosiła się na wysokiej skale wieżyca, zwana *Zamkiem Lwa Szlezwiskiego*, na pamiątkę uwięzienia w niej Iothama Lwa, księcia szlezwiskiego, przez jego brata, Ralfa Karła.

Nie jest naszym zamiarem opisywać wieże munczholmskiego zamku, tem więcej, że czytelnik, będąc tam zamknięty, obawiałby się, iż nie zdoła *ucieć przez ogród*. Omyliłby się jednak, ponieważ *Zamek Lwa Szlezwiskiego*, przeznaczony dla więźniów wyższego stanu, dostarczał im, oprócz innych wygód, możliwości spacerowania w dzikim ale dość obszernym ogrodzie, gdzie gęste ostrokrzewy, kilka starych cisów, nieco sosen rosło między skałami, około wysokiego więzienia, otoczone przez mury i olbrzymie wieże.

Przybywszy do stóp okrągłej skały, młody człowiek drapał się po stopniach niedbale wykutych i prowadzących kręto aż do podnóża jednej z wież, otaczających dziedziniec. Tam zatrafił siłnie w miedziany róg, który mu dał żołnierz, strzegący zwodzonego mostu.

— Otwórzcie, otwórzcie! — zawołał żywo głos z wieży—to pewnie ten przeklęty kapitan.

Otwierające się wrota pozwoliły przybyszowi spostrzedz w głębi gotyckiej sali, słabo oświetlonej, młodego oficera, leżącego niedbale na kupie płaszczy i skór reniferów. Obok niego stała na ziemi jedna z tych lamp o trzech ogniskach, które przodkowie nasi zawieszali u rozety sufitów. Bogata i elegancka odzież oficera w dziwnym była

przeciwieństwie z nagością i ordynaryjnemi meblami. Młody oficer trzymał w ręku książkę, a słysząc wchodzącego, nawpół się ku niemu obrócił.

— Ach, to kapitan? Witam cię, kapitanie! Nie spodziewałeś się zapewne, że kazałeś na siebie czekać człowiekowi, który nie ma honoru znać go wcale. Ale wszak prędko się poznamy, — nieprawdaż? Na początek racz przyjąć oświadczenia żalu, że wracasz do tego szanownego zamku. Jakkolwiek niedługo mam tu przebywać, stanę się jednak wesołym, gdyby sowa, którą jak straszdyło przybijają nad wrotami wieży, i kiedy powrócę do Kopenhagi na wesele mojej siostry, do dyabła, na sto dam, cztery mnie pozna za ledwie! Powiedz mi też kapitanie, czy kokardy z różnych wstążek u dołu kaftana zawsze są w modzie? czy przetłumaczono jaki nowy romans tej Francuzki, panny Seudery? Właśnie mam w ręku „Clelię“; zapewne czytają ją jeszcze w Kopenhadze. Dla mnie jest to kodeks galanteryi, szczególnie teraz, kiedy marzę o tylu pięknych oczach... — bo jakkolwiek piękne są oczy naszej uwięzionej, dla mnie jednakże nigdy nie mówią. Ach! nawet bez rozkazu mego ojca... A w zaufaniu muszę ci powiedzieć kapitanie, że mój ojciec, tylko nie o tem nie mów, zalecił mi względem córki Schumackera... rozumiesz mnie pan przecie; próżne jednak są moje starania, to posąg nie kobieta — płacze tylko, a nigdy na mnie nawet nie spojrzy.

— Jakto! co pan mówisz? Polecono ci uwieść córkę tego nieszczęśliwego Schumackera?!

— Uwieść? Niech i tak będzie, jeżeli tak to nazywają dzisiaj w Kopenhadze; ale tego i sam dyabeł

nie potrafi. Wczoraj, będąc na służbie, ubrałem się umyślnie dla niej w przepyszną kryzę francuską, sprowadzoną z samego Paryża. I czy pan uwierzysz, że ani okiem na mnie nie rzuciła, choć kilka razy przeszedłem przez jej apartament, dzwoniąc nowemi ostrogami, których kółka są większe niż dukaty lombardzkie. Wszak to najmodniejsza forma, nieprawdaż?

— Ależ to okropne! — zawołał nieznajomy, uderzając się w czoło — to nie do wiary!

— Czy nieprawda? — odparł oficer, nie rozumiejąc myśli tego wykrzyku. — Żeby na mnie nie zwrócić uwagi! To nie do uwierzenia... A jednak tak jest wistocie.

Młody człowiek, gwałtownie wzruszony, przechadzał się po sali wielkimi krokami.

— Czy nie zechcesz się posilić, kapitanie Dispolsen? — rzekł do niego oficer.

Nieznajomy ocknął się z zamyślenia.

— Ja nie jestem kapitanem Dispolsen — rzekł.

— Jakto! — zawołał oficer surowo, zrywając się ze swego siedzenia. Któż więc pan jesteś, coś śmiał wejść tutaj, o tej godzinie?

Zapytany rozwinął swoje pozwolenie.

— Pragnę widzieć hrabiego Griffenfeld... pańskiego więźnia, chciałem powiedzieć.

— Hrabiego! hrabiego! — powtórzył kwaśno oficer. — Ale bądź co bądź, rozkaz ten jest w porządku; a nawet jest na nim podpis wice-kanclerza Grummonda Kund. „Okaziciel ma prawo zwiedzać o każdej porze i godzinie wszystkie więzienia królewskie. Grummond Kund, dowodzący w Drontheim“. A trzeba

panu wiedzieć, że jenerał wychował mego przyszłego szwagra...

— Sądę, poruczniku, że te szczegóły rodzinne są nieco zbyt liczne. Czy pan myślisz, żeś za mało mi ich jeszcze opowiedział?

— Ten impertynent ma rację — rzekł do siebie porucznik, przygryzając wargi. — Hola! odźwierny odźwierny wieżowy! zaprowadź tego nieznajomego do Schumackera, tylko nie narzekaj, że zdjąłem twoją lampę o trzech płomieniach a z jednym knotem. Chciałem zbadać tę sztukę, która pamięta zapewne Sciolda-Bałwochwalcę albo Hawara - Rozdwoiciela; a zresztą, teraz zawieszają u sufitu tylko żyrandole kryształowe.

Po wyrzeczeniu tych słów, kiedy młody człowiek i jego przewodnik przechodzili przez pusty ogród wieżowy, porucznik wziął się na nowo, jako prawdziwy męczennik mody, do czytania romansowych przygód amazonki Clelii i Horacyusza Jednookiego.

IV

Benvolio.

Gdzież u dyabła może być ten Romeo? Nie wrócił do domu dzisiejszej nocy,

Mercutio.

Nie przepędził jej również u swojego ojca; mówiłem z jego służącym.
Schakspeare „Romeo i Julia“.

W tym samym czasie człowiek, prowadzący dwa konie, wszedł na dziedziniec pałacu gubernatora w Drontheim. Zsiadając z konia kiwał głową z miną pełną niezadowolenia i miał już oba konie prowadzić do stajni, kiedy nagle schwycono go za ramię i głos jakiś zawołał do niego;

— Jaktó! sam tylko jesteś, Poel! A gdzie twój pan? Gdzie jest twój pan?

Był to stary jenerał Lewin Kund, który zobaczywszy przez okno służącego młodego nieznajomego i próżne siodło, zszedł nagle i wpatrywał się w lokaja wzrokiem więcej jeszcze niespokojnym niż było jego zapytanie.

— Mego pana, ekscelencyo — rzekł Poel, kłaniając się głęboko — niema już w Drontheim.

— A więc był i odjechał, nie zobaczywszy swego

jenerała, nie uściskawszy starego przyjaciela! I kiedyż to?

— Przybył dziś wieczór i również dziś wieczór odjechał.

— Dziś wieczór! Gdzież więc zatrzymał się i dokąd pojechał?

— Był w Spladgeście, a stamtąd odpłynął do Munckholm.

— A ja myślałem, że jest gdzie na antypodach; ale co on tam będzie robił w tem zamczysku? po co był w Spladgeście? A to prawdziwy błędny rycerz! Choć moja to wina, moja, że go tak wychowałem! Chciałem, żeby był wolny, pomimo swego stopnia...

— To też wcale nie jest niewolnikiem etykiety— rzekł Poel.

— Zapewne, ale za to jest niewolnikiem swoich kaprysów, które, co prawda, znaczą jeszcze więcej. No, ale przecież powróci. Posil się czem, Poel. Powiedz mi tylko, — i twarz jenerała nabrała błagalnego wyrazu—powiedz mi tylko Poel, czyście ciągle na prawo i na lewo wędrowali?

— Przybyliśmy w prostej linii do Berghen, panie jenerale. Pan mój ciągle był smutny.

— Smutny! Czy zaszło więc co pomiędzy nim a jego ojcem? Czy mu się małżeństwo nie podoba?

— Nie wiem tego. Ale powiadają, że jego dostojność zagnęła go do niego.

— Zagnęła! powiadasz, Poel? Wice-król zagnęła go do tego! To widać, że Ordener nie chce się na to zgodzić?

— Nie wiem, ekscelencyo. Ale ciągle zdaje się być smutny.

— Smutny! Czy nie wiesz, jak go ojciec przyjął?

— Za pierwszym razem było to w obozie blisko Berghen. Jego dostojność rzekł:—Rzadko cię, widzę mój synu. — Tem lepiej dla mnie, ojcze mój i panie, skoro zauważyć to raczyłeś—odrzekł mój pan. Później opowiedział jego dostojności szczegóły swoich wycieczek na północ; na to dostojny jego ojciec rzekł:—To dobrze.—Nazajutrz pan mój powrócił z pałacu i mówił do mnie:—Chcę mnie ożenić, ale wpiery muszę widzieć mego drugiego ojca, jenerała Lewina.—Osiodłałem przeto konie i otóż jesteśmy.

— I to prawda, mój dobry Poel—rzekł jenerał wzruszonym głosem—że on mnie nazwał swoim drugim ojcem?

— Tak, ekscelencyo.

— Biada mi więc, jeśli to małżeństwo nie zgadza się z jego wola, bo raczej narażę się na niełaszkę króla, aniżeli zdołam zagnęć go do tego. Chociaż, córka wielkiego kanclerza obojga królestw...! A czy Ordener wie, że jego przyszła teściowa, hrabina Ahlefeld, jest tutaj incognito od wczoraj i że hrabia również jest spodziewany?

— Nie wiem, panie jenerale.

— O tak! — powiedział do siebie stary jenerał — musi o tem wiedzieć, bo inaczej po cóżby rejterował zaraz po jej przybyciu?

Poczem jenerał, kiwnawszy życzliwie głową Poelowi i oddawszy pozdrowienie szyldwachowi, który broń przed nim zaprezentował, powrócił do pałacu również jak i przedtem niespokojny.

V

Właśnie uklęknęłam... — zaczęłam swoją duszę wznosić do Boga, kiedy ktoś stanął tuż za mną. Po chwili usłyszałam głębokie westchnienie, a później, bliżej mego ucha, wymówiono imię... Nie było to imię świętej... o, nie! to było moje imię. Nakoniec, czas już było wychodzić: nabożeństwo się skończyło; bałam się podnieść głowę... Odwracam się i poznaję, to był... on.

Lessing.

Powiadają, że wszystkie namiętności wzruszały jego serce i że wszystkie go opuściły. Nie pozostało mu nic, prócz smutnego i przeszywającego spojrzenia, zwykłego człowiekowi głęboko znającemu ludzi — prócz spojrzenia, które jednym rzutem oceniało kierunek rzeczy.

Schiller, „Wiedza.“

Kiedy nieznajomy przebiegł już kręte schodki i wysokie sale wieży Lwa Szlezwiskiego, i kiedy odzwierny otworzył nakoniec drzwi apartamentu, gdzie znajdował się ten, którego szukali, wtedy o uszy jego odbiły się następujące słowa:

— Czy to nareszcie kapitan Dispolsen?

Pytającym się w ten sposób był starzec, tyłem do drzwi siedzący, łokciami oparty o stół i z głową na dłonie zwieszoną. Ubrany był w długą, czarną szatę, a na drugim końcu pokoju oko dostrzedz mogło rozbitą tarczę herbową, około której wisiały porwane łańcuchy orderów Słonia i Danebroga; przewrócona korona hrabiowska i szczątki dwóch rąk, emblematycznych znaków sprawiedliwości, złożone na krzyż, dopełniały tych dziwacznych ozdób.

Starcem tym był Schumacker.

— Nie, panie — odpowiedział odzwierny.

Później zaś ten ostatni rzekł do nieznajomego:

— Oto więzień — i pozostawiając ich razem, zamknął drzwi, ale przedtem mógł jeszcze słyszeć, jak starzec ostrym głosem mówił:

— Skoro to nie jest kapitan, to nie chcę widzieć nikogo.

Nieznajomy na te słowa stanął nieruchomy u drzwi, więzień zaś sądząc, że jest sam tylko, nie obrócił się ani na chwilę, zatonął bowiem w głębokim zamyśleniu.

Poczem nagle zawołał:

— Kapitan widać opuścił mnie i zdradził! O ludzi!.. ludzie są jak ten lodu kawałek, który Arab wziął za brylant, schował go starannie do worka, a gdy chciał stamtąd wydobyć, znalazł zaledwie kilka kropel wody...

— Ja nie jestem jednym z tych ludzi — rzekł nieznajomy.

Schumacker zerwał się gwałtownie.

— Kto tu jest?! Kto mnie podsłuchuje? Czy jaki niedźny agent tego Guldenlewa?...

— Nie mówcie źle o wice-królu, panie hrabio.

— Panie hrabio! Czyż dlatego mnie tak nazywasz abyś mi pochlebił? Daremne twoje trudy; nie jestem już potężnym.

— Ten, który mówi do ciebie, panie, nie znał cię nigdy potężnym, a mimo to jest twoim przyjacielem.

— Bo jeszcze, zapewne, spodziewa się czegoś ode mnie. Pamięć, jaką zachowują dla nieszczęśliwych, jest częstokroć miarą nadziei w nich pokładanej.

— To ja raczej mógłbym się żalić na was, szlachetny hrabio, ja bowiem pamiętałem o was, a wyście mnie zapomnieli! Jestem Ordener.

Iskra radości zajaśniała chwilowo w oczach starca, a uśmiech, którego nie mógł powstrzymać, rozdzielił jego siwą brodę od wąsów, jak promień słońca przedzierający się przez chmurę.

— Ordener! Witaj mi, witaj, Ordenerze. Tysiączne życzenia szczęścia dla podróżnego, niezapominającego o więźniu!

— Nie poznaliście mnie, panie—rzekł Ordener—zapomnieliście zapewne!

— Zapomniałem cię — rzekł Schumacker, stając się znowu ponurym — jak zapomina się powiewu wiatru, który chłodząc nas, ulatuje, jeżeli szczęściem, nie staje się huraganem, co nas przewraca.

— Hrabio Griffenfeld — zapytał młody człowiek — nie spodziewaliście się więc abym powrócił?

— Stary Schumacker nie liczył już na to; ale jest tu młoda dziewczyna, która dziś właśnie przy-

pomniała mi, że 8-go maja minął rok twojej nieobecności. Ordener zadrzał.

— Jak to, wielki Boże! byłąby to wasza Ethel, szlachetny hrabio?

— A któżby inny.

— Wasza córka, panie, raczyła liczyć miesiące od chwili mego odjazdu! O, ileż spędziłem smutnych dni! Zwiedziłem całą Norwegię, od Christyanii aż do Wardhuus, ale ze wszystkich wycieczek zawsze wracałem do Drontheimu.

— Korzystaj z wolności, młodzieńcze, dopóki nią cieszyć się możesz. Ale powiedz mi nareszcie, kto ty jesteś? Chciałbym cię znać pod innym imieniem. Syn jednego z śmiertelnych mych nieprzyjaciół nazywa się także Ordener.

— Ten śmiertelny nieprzyjaciel więcej, być może, ma dla ciebie życzliwości, aniżeli ty masz jej dla niego, panie hrabio.

— Omijasz moje zapytanie; ale zachowaj swoją tajemnicę; dowiedziałbym się może, iż owoc, który mnie orzeźwia, jest trucizną, mającą mnie zabić.

— Hrabio!—zawoła Ordener głosem pełnym gniewu.—Hrabio!—powtórzył tonem wyrzutu i ubolewania.

— Czyż mogę — mówił dalej Schumacker — zaufać tobie, który w mej obecności bronisz zawsze tego nieubłaganego Guldenlewa?...

— Wice-król — przerwał z powagą młody człowiek — rozkazał właśnie, abyś hrabia na przyszłość zupełnie był wolnym i pozostawał bez straży w całej wieży Lwa Szlezwigskiego. Jest to nowina, o której

słyszałem w Berghen; o czem zresztą wkrótce zapewne będziesz pan uwiadomiony.

— Łaska to, jakiej spodziewać się nawet nie śmiałem i zdaje mi się, że o tem życzeniu mojem do ciebie tylko mówiłem. Zmniejszają ciężar moich kajdan w miarę, jak mi lat przybywa, a kiedy wiek i słabość zupełnie mnie uczynią bezsilnym, powiedzą mi zapewne: jesteś wolny.

Po tych słowach, starzec uśmiechnął się gorzko i mówił dalej:

— A ty, młodzieńcze, czy zawsze jesteś pełnym szalonych myśli o twojej niezależności?

— Gdyby myśli moje nie były szalone, byłbym tutaj?

— A jak się dostałeś do Drontheimu?

— Przyjechałem na koniu.

— A do Munckholmu?

— Na łódce.

— Biedny szaleńcze! I ty sądzisz się być wolnym, a z konia zsiadasz do łódki. Twoją wolę spełniają nie własne członki, ale koń, ale materya; i ty to nazywasz swoją wolą!

— Zmuszam materyę, aby mi była posłuszną.

— Kto nabiera prawa rozkazywania pewnym istotom, upoważnia innych, aby mu rozkazywali. Niezależność jest możliwą tylko w samotności.

— Nie kochacie ludzi szlachetny hrabio.

Starzec smutnie się uśmiechnął.

— Boleję nad tem, że jestem człowiekiem, a śmieję się z tego, który mnie pociesza. Zrozumiesz to kiedyś. Nieszczęście prowadzi za sobą nieufność tak,

jak pomyślność robi niewdzięcznym. Posłuchaj mnie. Ponieważ przyjeżdżasz z Berghen, powiedz mi przeto — co za wiatr pomyślny zawiął dla kapitana Dispolsen? Musiało mu się zdarzyć coś szczęśliwego, skoro o mnie zapomina.

— Dispolsen, panie hrabio? — zapytał Ordener ponuro, z zakłopotaniem — przychodzę do was, aby właśnie o nim pomówić. O ile wiem, posiadał on całe wasze zaufanie...

— Pan to wiesz? — przerwał więzień niespokojnie. — Otóż mylisz się zupełnie. Nikt na świecie nie posiada mego zaufania. Dispolsen jednak ma w swoim ręku papiery bardzo dla mnie ważne. Dla mnie to udał się do Kopenhagi, do króla. Przyznam się nawet, że na niego liczyłem więcej niż na kogokolwiek — bądź innego, ponieważ w czasie mojej potęgi i znaczenia, nie oddałem mu żadnej usługi.

— Otóż, szlachetny hrabio, widziałem go dzisiaj...

— Twoje pomieszczenie mówi mi resztę: zdradził mnie.

— Kapitan Dispolsen nie żyje.

— Nie żyje!

Mówiąc to, więzień założył ręce na krzyż i opuścił głowę; po chwili, wpatrując się w młodzieńca, rzekł:

— Czyż nie mówiłem, że mu się coś szczęśliwego zdarzyło...

Potem skierował swoje oczy na ścianę, gdzie wisiały oznaki jego upadłej wielkości i dał znak ręką, jak gdyby chciał oddalić świadka boleści, którą usiłował przezwyciężyć.

— Nie jego to żałuję, wszak to tylko jednym mniej człowiekiem na świecie. Nie siebie również; cóż ja mam do stracenia? Ale moja córka, moja nieszczęśliwa córka. Padnę ofiarą tego niegodnego knowania, a cóż się z nią stanie, kiedy jej ojca zabrają? Zwrócił się żywo go Ordenera.

— W jaki sposób umarł? Gdzie go widziałeś?

— Widziałem go w Spladgeście; nie wiadomo, czy padł ofiarą samobójstwa, czy też został zamordowany.

— To właśnie najważniejsze. Jeżeli go zamordowano, wiem z czyjego zginął rozkazu i wtedy wszystkie stracone. Miał mi przywieźć dowody spisku, jaki przeciw mnie knują; te dowody mogły mnie ocalić a ich zgubić zupełnie... Zdołali je zniszczyć... Nieszczęśliwa Ethel...!

— Powiem ci jutro, panie hrabio—rzekł Ordener—czy zginął z ręki własnej, czy też od ciosu mordercy.

Suchumacker, nie odpowiadając, powiódł za wychodzącym po tych słowach Ordenerem wzrokiem, w którym malował się spokój rozpaczy, straszniejszy jeszcze niżeli spokój śmierci.

Ordener wszedł do pustego przedpokoju więźnia, nie wiedząc, którędy się ma dalej udać. Noc już była a salę zupełna zalewała ciemność; otworzył pierwsze drzwi, jakie napotkał i znalazł się w długim korytarzu, oświetconym jedynie promieniami księżyca, co się przez blade przebijał chmury. Jego posępne światło padało przez wysokie i wązkie okna, rysując na przeciwległej ścianie cały szereg widziadeł, zjawiających się i nikną-

cych w głębi korytarza. Młody Norwegezyk przeżegnał się powoli i skierował swoje kroki w stronę światelka, które na końcu korytarza błyszczało.

Przez pół otwarte drzwi, widać było młodą dziewczę, klęczącą w gotyckiej kaplicy, u stóp ołtarza. Odmawiała półgłosem litanie do Najświętszej Panny, modlitwę szczytną i prostoty pełną, w której dusza unosi się do Matki Siedmiu Bolesci i prosi, aby Ona za nią do Boga się wstawiła.

Dziewica ta ubrana była w czarną krepe i białą gazę, jakby dla pokazania z pierwszego wejrzenia, że dni jej dotąd płynęły w smutku i niewinności. Nawet w tak skromnej postawie, cała jej istota nosiła na sobie oznakę wyjątkowej natury. Jej oczy i włosy były czarne, co nader rzadkiem jest u dziewczę Północy; spojrzenie, skierowane ku sklepieniu kaplicy, zdawało się być raczej promieniejącem ekstazą, aniżeli przyémionem skupieniem ducha. Klęcząc u stóp krzyża, wznoszącego się na kamiennym ołtarzu, wyglądała jak dziewczica z wybrzeży Cypru lub wiosek Tibur, odziana w fantastyczny welon Osyana.

Ordener zadrżał i o mało nie upadł, poznał bowiem tę, co swoje modły ku niebu wznosiła.

Modliła się za ojca, upadłego możnowładcę, za więźnia, przez wszystkich zapomnianego i odmawiała głośno psalm wyswobodzenia.

Modliła się jeszcze za kogoś więcej, ale Ordener nie usłyszał jego imienia; nie usłyszał, bo go nie wymówiła, a powtarzała tylko hymn Sulamity, małżonki, oczekującej powrotu ukochanego.

Ordener cofnął się w głąb galeryi, nie chciał bowiem przerywać rozmowy dziewczicy z niebem. Modlitwa ma dziwny urok tajemnicy, serce więc jego mimowoli napętniło się zachwyceniem nieznanem, ale światowem.

Drzwi modlitewni z wolna się zamknęły i kobieta w bieli, ze światłem w ręku, posuwała się w ciemnościach ku niemu. Zatrzymał się, bo uczył najgwałtowniejsze wzruszenie w życiu, oparł się o ciemny mur, bez władzy i drżący, a w milczeniu całej swej istoty, słyszał wyraźnie uderzenia swego serca.

Młodą dziewczę, przechodzącą koło niego, doleciał szelest płaszcza i oddech gwałtowny a przyspieszony.

— O mój Boże!—zawołała.

Ordener rzucił się ku niej, podtrzymał ją jedną ręką, a drugą starał się napróżno pochwycić lampę, która wypadła z jej rąk i zgasła.

— To ja—rzekł z cicha.

— Ordener!—wyszeptała młoda dziewczica, bo dźwięk jego głosu, którego od roku nie słyszała, brzmiał jeszcze w jej uszach, a promienie księżyca oświeciły radość, rozlaną na czarującej jej twarzy. Po chwili, wyrywając się z wolna z rąk młodego człowieka, bojaźliwa i zmieszana, mówiła dalej:

— To pan Ordener.

— On sam, hrabianko Ethel...

— Dlaczego nazywasz mnie hrabianką?

— A dlaczego mówisz mi panie?

Dziewica uśmiechnęła się i zamilkła, on również zamilkł i westchnął. Ona pierwsza przerwała milczenie:

— Co cię tu sprowadza?

— Przebacz, jeśli obecność moja zasmuca cię może. Przybyłem tu dla pomówienia z hrabią, twoim ojcem.

— A więc—rzekła Ethel drżącym głosem—przyszedłeś tylko do mego ojca?

Młody człowiek spuścił głowę, czując niesprawiedliwość tych słów.

— Oddawna już zapewne—mówiła dalej dziewczica tonem wyrzutu—jesteś pan w Drontheim. Nie pomyślałeś może, że już tak długo nie byłeś w tym zamku...

Ordener dotknięty mileżał.

— I słusznie pan czynisz — mówiła córka więzienia głosem z boleści drżącym — sądzę jednak — dodała z dumą — żeście nie słyszeli, panie Ordener, jakem się modliła.

— Hrabianko — odparł młodzieniec — słyszałem twoją modlitwę.

— Nie godzi się, panie, podsłuchiwać w ten sposób.

— Ja nie podsłuchiwałem, szlachetna hrabianko—rzekł bojaźliwie Ordener—słyszałem mimo mojej woli.

— Modliłam się za mego ojca—odparła młoda dziewczica, pilnie się w niego wpatrując i jakby oczekując odpowiedzi na swoje słowa.

Ordener mileżał.

— Modliłam się także—mówiła dalej niespokojna i uważna, jaki skutek wywołają jej słowa—za kogoś, który nosi pańskie imię: za syna wice-króla, hrabiego

Guldenlewa. Ponieważ trzeba się modlić za wszystkich na świecie, a nawet za swoich prześladowców...

I zarumieniła się biedna, sądziła bowiem, że kłamie; ale była rozgniewana na młodego człowieka, a zdawało się jej, że w modlitwie wspomniła jego imię, choć je tylko w swej myśli wymieniła.

— Ordener Guldenlew bardzo byłby nieszczęśliwy, szlachetna pani, gdyby wiedział, że go zaliczasz do prześladowców swoich; cieszyć się jednak może tem, że znajduje miejsce w twoich modłach.

— O! nie—odpowiedziała Ethel zmieszana i przestraszona zimnym wyrazem twarzy młodego człowieka—nie, ja nie modliłam się za niego... Nie wiem, co czynię, co mówię. Co do syna wice-króla, nienawidzę go, chociaż go nie znam. Nie patrz pan na mnie tak surowo: czy cię obraziłam? Czy nie powinienesz przebaczyć biednej uwięzionej, ty panie, który pędzisz dni swoje obok jakiejś damy pięknej i szlachetnej, wolny i jak ona szczęśliwy.

— Ja, hrabianko...! — zawołał Ordener.

Ethel załapała się potokiem łez, a on do nóg się jej rzucił.

— Czyż nie powiedziałaś mi — mówiła dalej uśmiechając się z po za łez swoich — że twoja nieobecność zdawała ci się tak krótka?

— Ja hrabianko?

— Nie nazywaj mnie tak — mówiła słodko; — nie jestem już dla nikogo hrabianką, a szczególnie dla ciebie, panie...

Ordener powstał gwałtownie i przycisnął ją do serca swego w uniesieniu.

— O moja Ethel uwielbiana, nazwij mnie twoim Ordenerem... O powiedz mi—tu zwrócił palące spojrzenie w jej oczy łzami zalane — powiedz mi, wszak ty mnie zawsze kochasz?...

Nie wiadomo, co odpowiedziała młoda dziewica, ponieważ Ordener w uniesieniu porwał z jej ust, wraz z odpowiedzią, ten pierwszy i święty pocałunek, który dostatecznym jest w oczach Boga, aby dwoje kochanków w małżonków zamienić.

Milczeli oboje, była to bowiem dla nich jedna z tych chwil uroczystych, tak rzadkich i krótkich na ziemi, w której dusza uczuwać się zdaje szczęśliwość niebieską. Są to chwile nieokreślone; w nich dwie dusze mówią do siebie językiem dla nich tylko zrozumiałym. Wówczas, co tylko jest ludzkiego, milczy, a dwie istoty, od materji wyswobodzone, łączą się tajemniczo na całe życie na ziemi i na zawsze w wieczności.

Ethel wysunęła się z objęć Ordenera i przy świetle księżyca patrzyli na siebie w upojeniu: on wzrokiem, przez który przemawiała męska duma i lwia odwaga; ona zamglonem spojrzeniem, pełnem skromności i anielskiego wstydu, który w sercu dziewczicy łączy się z każdą uciechą miłości.

— Przed chwilą w tym korytarzu — rzekła nakoniec — unikałeś mnie, Ordenerze.

— Nie unikałem cię, ale byłem jak niewidomy, który, gdy mu po kilku długich latach wzrok przywróca, odwraca się na chwilę od światła.

— Do mnie raczej porównanie to zastosować można, ponieważ w twej nieobecności nie doznawałam

innego szczęścia, prócz widoku mego ojca, równie jak ja nieszczęśliwego. Pędziłam długie dni pocieszając go... i czekając na ciebie — dodała ze spuszczeniem oczyma. — Czytałam mu baśni Eddy, a kiedy wątpił o ludziach, Ewangelię, aby przynajmniej nie zwątpił o niebie; później mówiłam mu o tobie, a on milczał, co jest dowodem, że cię kocha. Ale gdy wieczorami patrzyłam daremnie na drogę i dążących w dali podróżnych, na okręta, do portu przybijające, wtedy on kiwał głową z gorzkim uśmiechem, a ja rzewnie płakałam. Więzienie, gdzie życie moje dotąd pędziłam, stało mi się ohydne: a jednak ojciec, którego widok, przed poznaniem ciebie, rozweselał mi je, był razem ze mną, ale ciebie nie było. Pragnęłam więc tej wolności, której nie znam jeszcze.

W oczach młodej dziewczyny, w naiwnej jej czułości, w słodkim wylaniu serca, był wdzięk, jakiego słowa ludzkie nie są w stanie wypowiedzieć. Ordener słuchał jej w radośnem marzeniu człowieka, którego z ziemi przeniesiono do idealnego świata.

— A więc ja teraz — rzekł — nie pragnę już tej wolności, której ty ze mną dzielić nie możesz.

— Jakto, Ordenerze — zapytała z żywością Ethel — już nas nie opuścisz?

Słowa te przywiodły mu na myśl wszystko, o czem zapominał.

— O moja Ethel, jeszcze tego wieczoru opuścić cię muszę. Zobaczę cię znowu jutro, ale jutro pożegniam cię także; przyjdzie jednak ta chwila, że się już nigdy nie rozłączymy.

— Niestety! — przerwała boleśnie dziewczyna — znowu mnie porzucasz...

— Powtarzam ci, moja Ethel ukochana, że przybędę tu wkrótce, aby cię wyrwać z tego więzienia, albo w niem wraz z tobą pozostać na zawsze.

— Być razem z nim! — wyrzekła słodko. — O nie zwódź mnie! Bo czyż mogę spodziewać się takiego szczęścia!

— Jakiej żądasz przysięgi? — zawołał Ordener. — Powiedz mi, droga Ethel, wszak wobec Boga jesteś już moją żoną?...

I w miłosnem uniesieniu przycisnął ją silnie do swej piersi.

— Jestem twoją — wyszeptła.

Dwa te serca szlachetne i czyste były z rozkoszą obok siebie, a miłość czyniła je szlachetniejszymi i czystszyimi jeszcze.

Nagle rozległ się obok nich gwałtowny wybuch śmiechu. Człowiek, płaszczem odziany, wydobył ślepa latarkę, którą przedtem ukrywał, a jej jasność oświeciła przestraszoną i zmieszaną twarz Etheli i zdziwione a dumne oblicze Ordenera.

— Odważnie, śliczna paro, odważnie! Ale zdaje mi się, że tak krótko wędrując po krainie Czułości, nie szliście wzdłuż zakrętów rzeki Uczucia i musieliście podążyć manowcami, aby dojść tak prędko do gaju Pocałunku.

Czytelnicy nasi poznali zapewne porucznika, wielbiciela panny de Scudery. Porzuciwszy czytanie „Clelii“ dla odbycia nocnego rontu, przybył i do więzicy, a kochankowie kroków jego nie usłyszeli.

Przechodząc korytarzem, usłyszał rozmowę i przy świetle księżycy ujrzał poruszające się dwa cienie. Wówczas, ciekawy i śmiały, ukrył pod płaszczem latarnię i na palcach zbliżył się do widziadeł, które wybuch jego śmiechu tak nieprzyjemnie wyrwał z uniesienia.

Ethel poruszyła się, chcąc uciekać od Ordenera, po chwili jednak, jakby szukając opieki i obrony, swą rozpaloną głowę ukryła na jego piersiach.

On zaś stał nieporuszony i dumny, jak król.

— Biada — rzekł — biada temu, który cię przstraszył i zasmucił, o moja Ethel!

— Tak, tak — odezwał się porucznik — biada mi, żem tak niezręcznie przstraszył czułą Mandanę.

— Mości poruczniku — rzekł wyniośle Ordener — wzywam cię, abys mileżał.

— Mości śmiałku — odpowiedział oficer — i ja cię wzywam, abys zamilkł.

— Czy mnie pan słyszysz?! — zawołał Ordener grzmiącym głosem — milczeniem wyjednaj sobie przebaczenie.

— *Tibi tua* — odparł porucznik — radę swą zachowaj dla siebie. Milczeniem wyjednaj sobie przebaczenie.

— Milez! — krzyknął Ordener głosem, od którego szyby zadrżały; a złożywszy młodą dziewczę na stojącym opodal fotelu, chwycił energicznie za ramię oficera.

— No, no, śmiałku! — rzekł porucznik nawpół ze śmiechem, nawpół z gniewem — czy nie widzisz,

że kaftan, który gnieciesz tak brutalnie, uszyty jest z najpiękniejszego aksamitu z Abingdou?

Ordener spojrział na niego, jakby go chciał zabić swym wzrokiem.

— Poruczniku — powiedział — moja cierpliwość krótszą jest, aniżeli szpada, co ją mam przy boku.

— Rozumiem cię, mój panie — odparł porucznik, śmiejąc się ironicznie — chciałbyś, abym ci uczynił ten honor. Ale czy ty wiesz kto ja jestem? Nie, nie, *książę przeciw księciu, pasterz przeciw pasterzowi*, jak mówił piękny Leander.

— Jeżeli tak, to powiedzieć trzeba: tchórz przeciw tchórzowi — zawołał Ordener — w takim razie nie będę miał honoru zmierzyć się z panem.

— Mógłbym się rozgniewać, gdybyś nosił mundur, mój szanowny pasterzu.

— Nie mam galonów, ani akselbantów, ale noszę szablę, mości poruczniku!

Mówiąc to, młody człowiek z dumą odrzucił w tył płaszcz, włożył kapelusz na głowę i ujął za rękojeść szpady; ale Ethel, ujrawszy nieuniknione niebezpieczeństwo, chwyciła jego ramię i objęła za szyję z krzykiem prośby i przestachu.

— Słusznie pani robisz, piękna damo, że nie pozwalasz, aby młodzik ten ukarany był za swą śmiałość — rzekł porucznik, który na groźby Ordenera z zimną krwią przygotował się do obrony; — ponieważ Cyrus miał się zmierzyć z Kambyzesem, jeżeli tylko porównanie tego wazala do Kambyzesa nie przyniesie mu za wiele honoru.

— Na imię nieba, panie Ordener — prosiła Ethel — niechaj nie będę przyczyną i świadkiem podobnego nieszczęścia! — Później, wznosząc ku niemu swoje piękne oczy, dodała: — Ordenerze, błagam cię o to!...

Ordener wsunął z wolna do pochwy ostrze szpady nawpół już dobyte, a porucznik zawołał:

— Na honor, rycerzu, nie wiem, czy nim jesteś, ale daję ci ten tytuł, bo zdajesz się na niego zasługiwać; postępujemy obydwaj według praw honoru, ale nie podług praw galanterii dla dam przynależnej. Sprawa, którą, jak sądzę, godny jesteś mieć ze mną, nie może mieć damy za świadka, chociaż często, niechaj mi pani przebaczy, damy są do niej powodem. Możemy więc mówić tylko o *duellum remotum* i jako obrażony, jeżeli pan chcesz wybrać czas, miejsce i broń, to w takim razie moją szpada z Toledo, lub puginał z Merida, mogą się zmierzyć z twoją szerpentyną z kuźni Ashreuth, lub myśliwskim nożem, hartowanym w jeziorze Sparbo.

Pojedynek odroczoney, jaki oficer zaproponował Ordenerowi, był w zwyczaju na północy, gdzie według twierdzeń uczonych, powstały pojedynki. Najodważniejsi rycerze wzywali i przyjmowali *duellum remotum*. Odkładano je na miesiące, częstokroć na całe lata, a przez ten czas przeciwnikom nie wolno się było zajmować ani słowem, ani czynnie sprawą, która spowodowała wyzwanie. I tak, w miłości rywale wyrzekali się widoku swojej ukochanej, aby rzeczy pozostały w poprzednim stanie: polegano w tym względzie na prawości rycerskiej. Jednym słowem, postępowano w tym razie podług zwyczaju, przyjętego na średnio-

wiecznych turniejach, Jeżeli sędziowie zapasów, zauważwszy naruszenie prawa, rzucili w szranki swe laski, wtedy walczący natychmiast się wstrzymywali, ale aż do chwili rozjaśnienia przypuszczalnego pogwałcenia prawa, piersi zwyciężonego pozostawały w tej samej odległości od miecza zwycięzcy.

— A więc rycerzu — odpowiedział Ordener po chwili zastanowienia — od dziś za miesiąc posłaniec mój zawiadomi cię o miejscu.

— Niechaj tak będzie — rzekł porucznik — o tyle to dla mnie lepiej, że będę mógł być na ceremonii ślubu mej siostry. Bo trzeba panu wiedzieć, że będziesz miał honor walczyć z przyszłym szwagrem nader dostojnego pana, syna wice-króla Norwegii, barona Ordenera Guldenlew, który z powodu tak sławnego hymenu, jak mówi Artamens, ma zostać hrabią Dannekiold, pułkownikiem i kawalerem orderu Słonia, ja zaś, jako syn wielkiego kanclerza obojga królestw, otrzymam bezwątpienia stopień kapitana...

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze, poruczniku Ahlefeld — odparł niecierpliwie Ordener — ale nie jesteś jeszcze kapitanem, ani syn wice-króla pułkownikiem, miecz zaś zawsze jest mieczem.

— A gbur gbur, choćby nie wiem co robić, aby go podnieść do siebie — wyrzekł przez zęby oficer.

— Kawalerze — mówił dalej Ordener — znasz zapewne prawo honoru. Nie wejdiesz więc do wieżycy i zechcesz milczeć o całej tej sprawie.

— Co do milczenia, polegaj pan na mnie; będę niemy, jak Mucius Scevola, kiedy trzymał w ogniu

swą rękę. Nie wejdę zaś do tej wieżycy ani ja, ani żaden argus z garnizonu; otrzymałem bowiem rozkaz, aby na przyszłość pozostawić Schumackera bez straży i miałem to właśnie oznajmić mu tego wieczoru. Uczyniłbym to napewno, ale mi dużo zajęło czasu przymierzanie nowych butów z Krakowa. Rozkaz ten, mówiąc między nami, bardzo jest nierozsądny. Czy chcesz pan, abym ci pokazał moje buty?

W czasie tej rozmowy, Ethel, widząc ich uspokojonych i nie wiedząc, co może znaczyć *duellum remotum*, zniknęła, szepnąwszy jednak do ucha Ordeenera:

— Do jutra!

— Prosiłbym cię, poruczniku Ahlefeld, abys mi pomógł wyjść z tego fortu.

— Bardzo chętnie — odrzekł oficer — chociaż już bardzo późno, albo raczej bardzo rano. Ale gdzież pan znajdziesz jaką łódkę?

— To już moja rzecz — odparł Ordener.

Poczem, jakby w najlepszej przyjaźni, przeszli przez ogród, przez dwa dziedzińce, a Ordener, prowadzony przez oficera, najmniejszej w tem nie doznał przeszkody. Przeszli nakoniec przez most zwodzony, skład artylerji, plac broni i przybyli do niskiej wieży, której żelazne wrota otworzy się na głos porucznika.

— Do widzenia, poruczniku Ahlefeld — rzekł Ordener.

— Do widzenia — odpowiedział oficer. — Przyznaję, żeś pan dzielny chłopak, chociaż nie wiem kto jesteś i czy twoi towarzysze, których przyprowadzisz

na miejsce spotkania, będą godni przyjąć udział w walce, czy też muszą pozostać prostymi świadkami.

Ścisnęli się za ręce, żelazne wrota znowu się zamknęły, a porucznik powrócił, nucąc arję Lulli, podziwiać swoje polskie buty i francuski romans.

Ordener, pozostawszy sam na progu, zrzucił ubranie, które owinąwszy w płaszcz, przywiązał pasem do głowy; poczem, wprowadzając w wykonanie zasady niezawisłości przez Schumackera głoszone, skoczył do zimnej i spokojnej wody zatoki i zaczął płynąć pośród ciemności ku brzegowi, kierując się w stronę Spladgestu, dokąd mógł być pewnym, że tak żywy, jak i umarły przybędzie.

Trudy całodzienne wyczerpały go, zaledwie przeto zdołał tam dopłynąć. Ubrawszy się pospiesznie, podążył do Spladgestu, rysującego się na placu portowym jak czarna masa, księżyc bowiem od pewnego czasu skrył się za chmury.

Gdy się zbliżył do samego budynku, zdawało mu się, że słyszy jakby ludzkie głosy; słabe światełko jaśniało przez otwór, nad drzwiami będący. Ździwiony, gwałtownie zapukał: głos uciekł, a światło zniknęło. Zapukał powtórnie — wtedy przy świetle, które się znowu zjawilo, ujrzał jakąś czarną postać, wychodzącą jednym z górnych otworów i wdrapującą się na płaski dach domu. Ordener zapukał po raz trzeci ręką i szablą i zawołał:

— Otwórzcie, w imieniu jego królewskiej mości!
Otwórzcie, w imieniu jego dostojności wice-króla!

Drzwi z wolna się otwarły i Ordener ujrzał przed sobą bladą i wychudłą twarz starego Spiagudrego. Do-

zorca umarłych stał przed nim z ubraniem w nieładzie, błędnem spojrzeniem, najeżonym włosiem, trzymając w zakrwawionych rękach grobową lampę, której płomień, wiatrem poruszany, mniej drżał, aniżeli całe ego ciało.

VI.

Pirro.

Nigdy!

Angelo.

Cóż to! widzę, że chcesz udawać poczciwego człowieka! — Nędzniku! jeśli powiesz jedno słowo...

Pirro.

Ależ Angelo, zaklinam cię na imię nieba...

Angelo.

Pozwól, niech się stanie to, czemu przeszkodzić nie możesz.

Pirro.

Ah! kiedy nas dyabeł trzyma choć za włos tylko, musimy mu wtedy oddać całą głowę... O ja nieszczęśliwy!

Emilia Galotti.

W godzinę po wyjściu młodego podróżnego ze Spladgestu, gdy już noc zapadła i tłum zwolna opuścił dom umarłych, Ogdypięglap zamknął drzwi zewnętrzne, Spiagudry zaś zlewał wodą po raz ostatni nieboszczy-

ków, pieczy jego powierzonych. Później obadwaj udali się do swego nędznego mieszkania, gdzie Ogdypiglap zasnął wkrótce na tapczanie, wyglądając jakby jeden ze znajdujących się w domu tym umarłych. Tymczasem szanowny Spiagudry zasiadł przed stołem, na którym leżało mnóstwo starych książek, zasuszonych roślin i kości, i pogrążył się w naukowem badaniu, jednajacem mu u ludu, pomimo całej swej niewinności, opinię czarownika i czarnoksiężnika, co zresztą w owych czasach było przywilejem nauki.

Kilka już godzin zagłębiał się w swoich rozmyślaniach i miał nareszcie porzucić książki, aby się udać do łóżka, kiedy nagle zastanowił się nad ponurem zdaniem Thormodusa, w którym tenże mówi, że „kiedy człowiek zapali lampę, wtedy śmierć jest w jego domu, dopóki lampy nie zgasi...”

— Z przeproszeniem szanownego doktora, powiedział do siebie półgłosem, ale dziś wieczorem wcale tak nie będzie.

I wziął lampę do ręki, aby ją zgasić.

Wtem głos, wychodzący z sali umarłych, zawołał donośnie:

— Spiagudry!

Stary dozorca zadrżał na całym ciele, chociaż nie sądził wcale, jakby to każdy inny uczynił na jego miejscu, że to śpiący snem wiecznym goście Spladgestu powstałi przeciw swemu strażnikowi. Był on o tyle wykształconym, że nie mógł podlegać obawie z wyobraźni tylko wynikającej, strach zaś jego dlatego właśnie był tak wielkim, że zbyt dobrze znał głos, który go przyzywał.

Powtórzyło się gwałtowne wołanie:

— Spiagudry! czy chcąc, abyś słyszał, mam iść i uszy ci oberwać?

— Niechaj Opatrzność weźmie w opiekę nie duszę, ale ciało moje! — rzekł przestraszony starzec.

I krokiem, który bojaźń przyspieszała i zwalniała zarazem, skierował się do drugich drzwi bocznych i spiesznie je otworzył. Czytelnicy nasi nie zapomnieli zapewne, że drzwi te prowadziły do sali umarłych.

Gdy wszedł, wtedy lampa oświeciła widok okropny i dziwaczny. Z jednej strony Spiagudry, chudy i pochylony nieco; z drugiej człowiek małego wzrostu, krępy, barczysty, odziany od stóp do głowy w skóry różnych zwierząt, na których krew zaschła zaledwie. Stał on przed trupem Gilla Stada, który, wraz z ciałem młodej dziewczyny i kapitana, zajmował niejako głąb sceny. Ci tylko martwi świadkowie, leżący w półcieniu, mogli patrzeć, nie uciekając z przestachu, na dwóch żywych, których rozmowa miała się rozpocząć.

Rysy małego człowieka, które światło dokładnie uwydatniało, miały w sobie coś niezwykle dzikiego. Brodę miał gęstą i rudą, a jego czoło, okryte czapką z łosiowej skóry, zdawało się być najeżone włosami tego samego koloru. Usta miał szerokie, grube wargi, zęby ostre i rzadkie, a nos jak dziób orła zakrzywiony. Jego szare oczy, nadzwyczaj ruchliwe, rzucały na Spiagudrego spojrzenia, w których okrucieństwo tygrysa łagodziła tylko przebiegłość małpy. Szczególny ten człowiek uzbrojony był w długą szablę, nóż bez pochwy i kamienną siekiere, a opierał się na dłu-

giem jej toporzysku. Ręce jego pokrywały ogromne rękawice ze skóry lisa niebieskiego.

— To stare widmo—mówił sam do siebie—długo mi czekać każe.

I wydał głos, do ryku dzikiego zwierza podobny. Spiagudry zbladłby był napewno, gdyby to dlań było możliwe.

— Czy wiesz—mówił dalej mały człowiek, zwracając się wprost do niego—że przybywam aż z płaszczyn Urechtału? Masz widać chęć, każąc na siebie czekać, zamienić swoje posłanie ze słomy na jedno z tych kamiennych łoży?

Spiagudry zadrżał jeszcze silniej; pozostałe dwa jedyne jego zęby gwałtownie o siebie uderzały.

— Przebacz, panie—powiedział, gnąc się w łuk aż do wysokości małego człowieczka—spalem głębokim snem...

— Czy pragniesz poznać sen głębszy jeszcze?

Twarz Spiagudrego wyrażała dziwny grymas przestraszenia, komiczniejszy jeszcze niż skrzywienia, jakie na niej wesołość wywoływała.

— Cóż to ci jest?—mówił dalej nieznajomy—czy obecność moja nie jest ci przyjemną?

— O panie!—odpowiedział stary dozorca—niema dla mnie większego szczęścia, jak widok waszej ekscelencji.

I gwałt, jaki sobie zadawał, aby swej przestraszonej fizyognomii nadać wyraz wesołości, oprócz umarłych, każdegoby rozśmieszył.

— Moja ekscelencja, ty stary lisie, rozkazuje ci oddać odzież Gilla Stadta.

Wymawiając to imię, dzika i szydercza twarz małego człowieka pokryła się ponurym smutkiem.

— Przebacz, panie, ale już jej nie mam—rzekł Spiagudry—wiadomo waszej łasce, że wszelkie pozostałości po górnikach oddajemy do skarbu, ponieważ król wszystko po nich odziedzicza, jako ich przyrodzony opiekun.

Nieznajomy zwrócił się do trupa, założył ręce i rzekł głucho:

— To prawda! Ci nędzni górnicy są jak edredony. Robią dla nich gniazda, aby im puch zabierać.

Później, podnosząc trupa na swoich rękach i ścisnąc go silnie, zaczął wydawać dzikie jęki miłości i bólu, podobne do mruczenia niedźwiedzia, pieszczącego się ze swoim małym. Do tych dźwięków nieokreślonych, mieszały się niekiedy słowa dziwnego języka, których Spiagudry nie mógł zrozumieć.

Nakoniec położył trupa na kamienne łożo i zwrócił się do dozorecy.

— Czy wiesz, przeklęty czarowniku—zapytał—jak się nazywa żołnierz, pod nieszczęśliwą zrodzony gwiazdą, którego ta dziewczyna nad Gilla przeniosta?

I uderzył nogą zimne zwłoki Guthy Stersen.

Spiagudry kiwnął przecząco głową.

— A więc, na siekiere Ingolpha, głowę mego rodu, wytepię wszystkich, którzy noszą taki mundur!—zawołał nieznajomy, wskazując ubranie oficera.—Ten, na którym się chcę zemścić, będzie między nimi. Spalę cały las, aby zniszczyć jadowity krzew, który wśród niego rośnie. Przysiągłem to w dniu, kiedy Gill umarł i dałem mu już towarzysza, z którego trup jego cieszyć się powinien.

— O Gillu! oto leżysz bez siły i życia, ty, coś fokę dogonił płynąc, dziką kozę biegnąc; ty, coś zwyciężył w walce i zdusił niedźwiedzia z gór Koll,—leżysz teraz nieruchomy. Przebiegałeś w jednym dniu Drontheimhus, od Orkel aż do jeziora Smiasen; wdrapywałeś się na szczyty Dofre-Fieldu, jak wiewiórka na dęby— a teraz, Gillu mój, leżysz milczący, ty, coś stojąc na wierchołku burzami nawiedzanej góry Kongsberg, śpiewał głosem od gromów silniejszym. O Gillu! napróżno więc dla ciebie zawałem kopalnię w Faroer; daremnie spaliłem katedrę w Drontheim; wszystkie moje trudy stracone—i na tobie się zakończy ród dzieci Islandyi, potomstwa Ingolpha Tępicieła; nie odziedziczysz mojej kamiennej siekiery, ale przeciwnie, ty to pozostawiasz mi swoją czaszkę, abym odtąd pił z niej wodę morską i ludzką krew!

Po tych słowach, chwytając za głowę trupa, rzekł:
— Spiagudry, dopomóż mi!

I zrucając swoje rękawice, ukazał szerokie ręce, uzbrojone w długie pazury, twarde i zagięte, jak u drapieżnego zwierza.

Spiagudry widząc, że chciał swoją szablą odciąć czaszkę trupa — zawołał z przerażeniem, którego nie mógł pokryć:

— Sprawiedliwy Boże! panie, toż to jest umarły!

— Wolisz więc—zapytał spokojnie mały człowiek — aby ostrze to na żywego tutaj się zwróciło?

— Oh! niech wasza wielmożność pozwoli... czy wasza ekscelencya może sprofanować...? Wasza łaska... panie, wasza dostojność nie zechce...

— Skończyszże raz? Czyż ja potrzebuję wszystkich tych tytułów, ty żywy skielecie, abym wierzył w twój głęboki szacunek dla mojej szabli?

— Na Świętego Waldemara, na Świętego Usupha, w imię Opatrzności, oszczędź pan umarłego...!

— Pomagaj mi i nie mów o świętych, do szatana!

— Panie — mówił dalej Spiagudry z błaganiem — na twego sławnego przodka, Świętego Ingolpha!..

— Ingolph Tępicieł był takim samym, jak ja, potępieniem.

— Na imię nieba — powiedział starzec, pochylając się—właśnie jabym chciał, abyś pan uniknął tego potępienia.

Mały człowiek zniecierpliwił się. Jego szare oczy zabłystry, jak dwa węgle rozpalone.

— Pomóż mi! — powtórzył, porywając za szablę.

Dwa te słowa powiedziane były głosem, jakim wymówiłby je lew, gdyby mógł przemówić. Dozorca, nawpół żywy i drżący, usiadł na czarnym kamieniu i podtrzymywał rękami zimną i mokrą głowę Gilla, nieznajomy zaś, przy pomocy noża i szabli, zdjął z niej czaszkę ze szczególną zręcznością.

Skończywszy operację, spoglądał przez chwilę na ową czaszkę, wymawiając jakieś dziwne wyrazy; później oddał ją Spiagudremu, aby ją wymył i oczyścił, przyrzecem rzekł, wydając rodzaj wycia:

— Ja już nie będę miał tej pociechy, aby spadkobierca duszy Ingolpha pił z mojej czaszki krew ludzką i morską wodę!

Po chwili dzikiego zamyślenia, mówił dalej:

— Za huraganem następuje huragan, za lawinami śniegu idą inne lawiny, ja zaś ostatnim będę z me-

go rodu. O czemuż Gill nie pogardzał, jak ja, wszystkim, co twarz ludzką nosi. Jakiż szatan, czy wróg, szatana popchnął go do tych kopalni przeklętych, by tam szukał garści złota?

Spiagudry przerwał mu, odnosząc czaszkę Gilla.

— Ekscelencya ma rację: nawet złoto — mówi Snorro Sturleson — często kupuje się za drogo.

— Przypominasz mi tem — rzekł mały człowiek — że chcę ci dać pewne polecenie. Oto żelazna szkatułka, znaleziona przy tym oficerze, po którym, jak widzisz, nie wszystko zagarnąłeś. Szkatułka ta szczelnie jest zamknięta, musi więc zawierać w sobie złoto, jedynie drogą rzecz w oczach ludzi. Oddaj ją wdowie Stadt, we wsi Throctree, jako zapłatę za jej syna.

Wy dobył wówczas z worka niewielką, żelazną szkatułkę. Spiagudry odebrał ją od niego i skłonił się głęboko.

— Wykonaj wiernie mój rozkaz — rzekł mały człowiek, rzucając na niego przeszywające spojrzenie — pomyśl bowiem, że dwa złe duchy z łatwością mogą się zobaczyć. Zdaje mi się, że jesteś bardziej jeszcze tchórzliwym, aniżeli cheiwym, a odpowiesz mi za tę szkatułkę...

— O panie! na moją duszę...

— Klnij się nie na duszę, ale na twoje kości i ciało.

W tej chwili gwałtownie zapukano do zewnętrznych drzwi Spladgestu. Mały człowiek spojrział z zadziwieniem. Spiagudry zadrzał i ręką zakrył lampę.

— Co to jest? — zawołał nieznajomy mrużąc —

trzęsiesz się cały, stary nędzniku, ale jakże zadrżysz, gdy usłyszysz głos trąby Sądu Ostatecznego?!

Rozległo się powtórnie gwałtowniejsze pukanie.
— To jakiś umarły, któremu pilno wejść tutaj — rzekł mały człowiek.

— Nie, panie — wyszeptał Spiagudry — umarłych nie przynoszą po północy.

— Umarły czy żywy, wypędza mnie jednak. Spiagudry, bądź wierny i milcz, a przysięgam ci na ducha Ingolpha i czaszkę Gilla, że w twej oberży trupów, odbędziesz przegląd całego munckholmskiego pułku.

I zatknawszy za pas czaszkę Gilla, włożywszy rękawice, mały człowiek, po ramionach Spiagudrego, skoczył ze zręcznością kozy w jeden z wyżej będących otworów i tam zniknął po chwili.

Nowe stukanie wstrząsnęło Spladgestem, a z zewnątrz dał się słyszeć głos rozkazujący:

— Otworzyć w imię króla i wice-króla!

Wówczas stary dozorca, podwójną naraz miotany bojaźnią, z których jedną można było nazwać *wspomnieniem* a drugą *nadzieją*, podążył do drzwi i zwołał je otworzył.

VII.

Dażąc po ścieżkach skalistych i bolesnych za tą radością, która stanowi szczęśliwość doczesną, strzuliła się, ale jej nigdy nie dosięgła

Wyznania Świętego Augustyna.

Powróciwszy po rozstaniu się z Poelem do swego gabinetu, gubernator Drontheimu zasiadł w szerokim fotelu i aby się rozerwać, rozkazał jednemu ze swych sekretarzy odczytywać prośby, podane do rządu.

Ten przeto — skłoniwszy się, zaczął:

— „1. Ksiądz Anatazy Munder, kapelan więźniów, prosi, aby z okazji małżeństwa Jego Dostojności Ordenera Guldenlew, barona Thorvick, kawalera Danebroga, syna wice-króla, z szlachetną damą Ulryką Ahlefeld, córką Jego Łaski hrabiego wielkiego kanclerza obojga królestw, ułaskawiono dwunastu więźniów.“

— Odroczyć—rzekł generał.— Żałuję tych skazanych.

Czytał dalej sekretarz:

— „2. Górnicy z Guldranshalu, z wysp Faroer, z Sund-Moeru, Hubfallo, Roeraas i Kongsbergu, upraszają o zwolnienie ich od opieki królewskiej.“

— Ci górnicy bardzo są niespokojni. Powiadają nawet, że zaczynają szemrać, długo nie odbierając odpowiedzi na swoją prośbę. Trzeba ją więc starannie rozpatrzyć.

— „3. Syndycy z Noes, Loewigu, Inalu, Skongen, Stod, Sparbo i innych miast i wsi Drontheimhuusu północnego wnoszą, aby na głowę rozbójnika, mordercy i podpalacza Hana, urodzonego — jak mówią — w Klipstadur w Islandyi, wyznaczoną była nagroda. Sprzeciwia się tej prośbie Nychol Orugit, kat Drontheimhuusu, dowodząc, że Han jego jest własnością. Popiera prośbę Benignus Spiagudry, dozorca Spladgestu, któremu trup Hana dostać się powinien.“

— To bardzo niebezpieczny bandyta — rzekł generał — nadewszystko dziś, kiedy spodziewać się można zamieszek między górnikami. Trzeba za jego głowę ogłosić nagrodę tysiąc talarów królewskich.

— „4. Benignus Spiagudry, lekarz, antykwaryusz, rzeźbiarz, mineralog, naturalista, botanik, prawnik, chemik, mechanik, fizyk...“

— Czy to ten sam Spiagudry, który jest dozorcą Spladgestu?

— Tak jest, wasza ekscelencyo — odpowiedział sekretarz.

— Czegóż on żąda?

Sekretarz przewrócił kilka arkuszy prośby, zawierającej liczne tytuły i zasługi Spiagudrego i wreszcie zaczął czytać:

— „Wnoszący prośbę sądzi, że ma prawo, w nagrodę prac tak użytecznych dla nauk i sztuk, błagać Jego Ekscelencję o podwyższenie opłaty za trupa tak męskiego, jak i żeńskiego, powierzonego jego opiece, o dziesięć askalinów, co zapewne bardzo będzie przyjemnem dla umarłych, jako dowód ocenienia ich osób“...

W tej chwili otwały się drzwi gabinetu i służący donośnym głosem zameldował szlachetną panią hrabinę Ahlefeld. Jednocześnie dama wysokiego wzrostu, z hrabiowską koroną na głowie, bogato ubrana w jedwabną, szkarłatną suknię, z gronastajami i złotemi frendlami, weszła do gabinetu i ujawszy podaną przez generała rękę, usiadła obok jego fotelu.

Hrabina mogła mieć lat około pięćdziesięciu. Wiek usprawiedliwiał niejako zmarszczki, któremi troski duszy i ambicya przedwcześnie twarz jej porały. Zwróciła na starego gubernatora wyniosłe spojrzenie, a na jej ustach zawitał uśmiech fałszywy.

— No i cóż, panie jenerale, twój uczeń każe na siebie czekać. Powinien być tutaj przed zachodem słońca

— Byłby napewno, pani hrabino, gdyby się nie udał po przybyciu tutaj do Munckholmu.

— Jak to, do Munckholmu? Ależ przecie nie do Schumackera...?

— Bardzo być może, że do niego.

— Pierwsza wizyta barona de Thorvick byłażby u Schumackera?

— Dlaczegożby nie, hrabino? Schumacker jest tak nieszczęśliwy!

— Jakto jenerale, syn wice-króla miałby zawiązać stosunki z więźniem stanu?

— Fryderyk Guldenlew, oddając mi swego syna, prosił mnie, szlachetna pani, abym go wychował jak swe własne dziecko. Sądziłem, że znajomość z Schumackerem może być użyteczną dla Ordenera, który kiedyś także w wielkim będzie znaczeniu. W tym przeto celu, z upoważnienia wice-króla, prosiłem mego brata, Grumonda Kund, o pozwolenie zwiedzenia wszystkich więzień i dałem je Ordenerowi; korzysta więc z niego.

— A od jak dawna, szlachetny jenerale, baron Ordener zrobił tak użyteczną znajomość?

— Więcej niż od roku, pani hrabino. Towarzystwo Schumackera, jak widać, podobało mu się bardzo, ponieważ to go właśnie zatrzymało dość długo w Drontheim, skąd z wielką niechęcią i jedynie wskutek mego usilnego życzenia, wyjechał w przeszłym roku dla zwiedzenia Norwegii.

— A Schumacker czy wie o tem, że jego pocieszyciel jest synem jednego z największych jego nieprzyjaciół?

— Wie tylko, że jest jego przyjacielem i to dlań zupełnie jest wystarczającym, równie jak i dla nas.

— Ale wy, panie jenerale — rzekła hrabina z badawczym spojrzeniem — zezwalając, a nawet wpływając na zawiązanie tego stosunku, czyście wiedzieli, że Schumacker ma córkę?

— Wiedziałem o tem, szlachetna hrabino.

— I okoliczność ta zdawała się panu nic nieznaczącą dla jego wychowanka?

— Wychowaniec Lewina Kund, syn Fryderyka Gul-

denlewa, jest człowiekiem honoru. Ordenerowi nie obca jest przepaść, dzieląca go od córki Schumackera; nie zdolny jest przeto uwieść młodą dziewicę, nie mogąc się z nią połączyć, a szczególniejszą córkę nieszczęśliwego ojca.

Szlachetna hrabina Ahlefeld zarumieniła się i zbladła. Odwróciła głowę, aby uniknąć spojrzenia starca, które dla niej zdawało się być oskarżeniem.

— W każdym jednak razie—mówiła z zakłopotaniem—pozwól sobie powiedzieć jenerale, że stosunek ten, według mego zdania, bardzo jest dziwny i nierozsądny. Nadewszystko dziś, gdy mówią, że górniczy i ludy północne zamysłają powstać i że imię Schumackera zamieszane jest w tę sprawę.

— Zdziwiacie mnie, szlachetna pani — zawołał gubernator—Schumacker dotąd spokojnie znosił swoje nieszczęście. Pogłoski te nie muszą mieć żadnej podstawy.

W tej chwili otworzyły się drzwi i służący zameldował, że posłaniec jego łaski wielkiego kanclerza pragnie mówić z szlachetną hrabiną.

Hrabina spiesźnie powstała, pożegnała gubernatora i kiedy stary jenerał zajął się dalszem przeglądaniem próśb, ona udała się do swoich apartamentów, położonych w jednym ze skrzydeł pałacu, rozkazując, aby przywołano tam posłańca.

Siedziała już od kilku chwil na bogatej sofie, otoczona swemi służebniami, kiedy posłaniec wszedł do jej buduaru. Hrabina, spostrzegiszy go, zrobiła poruszenie wstępu, które jednak spiesźnie pokryła życzliwym uśmiechem. Powierzchność posłańca nie zda-

wała się wszakże odpychać z pierwszego wejrzenia. Był to człowiek raczej niski niż wysoki, a jego twarz weale nie była odpowiednią dla posłańca. Po bliższem zbadaniu, twarz tego człowieka znamionowała otwartość, posuniętą aż do czelności, a wesołość jego spojrzenia miała w sobie coś dyabelskiego i złowieszczonego. Skłonił się głęboko przed hrabiną i podał jej pakiet, opieczętowany jedwabnymi sznurkami.

— Racz pozwolic, szlachetna pani — rzekł — abym złożył u jej stóp szacowną przesyłkę jego łaski, dostojnego pani małżonka, a mego szanownego pana.

— Czy to od niego samego i dla czegoż to hrabia, mój małżonek, używa was jako posłańca? — spytała hrabina.

— Ważne sprawy wstrzymały przyjazd jego łaski; list ten zawiadamia was o tem, dostojna hrabino. Co do mnie, to wedle rozkazu mego szlachetnego pana, będę miał wysoki zaszczyt prosić cię pani o chwilę rozmowy bez świadków.

Hrabina zbladła i zawołała drżącym głosem:

— Ja miałabym mieć potajemną rozmowę z wami, panie Musdoemon?!

— Gdyby to miało zrobić przykrość szlachetnej pani, jej niegodny sługa byłby w rozpacz.

— Przykrość... nie, bezwątpienia — odparła hrabina, zmuszając się do uśmiechu — ale czyż ta rozmowa jest tak konieczną?

— Niezbędną, pani hrabino. List, który pani raczyłaś przyjąć z moich rąk, obejmuje zapewne wyraźny co do tego rozkaz.

Han z Islandyi.

Szczególnem było patrzeć, jak dumna hrabina Ahlefeld bladła i drżała przed służalcem, który był dla niej z tak głębokim szacunkiem. Otworzywszy zwolna pakiet, przeczytała zawierający się w nim list, poczem słabym głosem rzekła do swoich kobiet:

— Odejdźcie, zostawcie nas samych.

— Niech szlachetna pani — rzekł posłaniec, zginając kolano — raczy przebaczyć mi moją śmiałość i przykrość, jaką zdaję się jej wyrządzać!

— Przeciwnie, proszę mi wierzyć — rzekła hrabina — że widok jego wiele mi sprawia przyjemności.

Kobiety otaczające hrabinę wyszły.

— Zapomniałaś widzieć, Elphegio, że był czas, kiedy nasze sam na sam nie budziły w tobie takiego wstrętu.

Tak przemówił posłaniec do szlachetnej hrabiny, a słowom tym towarzyszył uśmiech, podobny do szatańskiego zgrzytu w chwili, kiedy nadejdzie czas, w którym porywa należącą do niego duszę.

Można dama spuściła głowę z pokorą.

— Oh, czemuż tego nie zapomniałam w istocie! — wyszeptwała.

— Szalona! jak możesz wstydzić się tego, czego oko ludzkie nie widziało?

— Czego ludzie nie widzą, Bóg to widzi.

— Bóg? Słaba kobieto! nie jesteś godną zwodzić swego męża, bo on ma mniej wiary od ciebie.

— Naigrawasz się nieszlachetnie z wyrzutów mego sumienia, Musdoemonie.

— A więc, jeżeli je masz, Elphegio, to dlaczegoś sama naigrawasz się z nich codziennie przez nowe twoje zbrodnie?

Hrabina Ahlefeld ukryła twarz w dłoniach — posłaniec zaś mówił dalej;

— Potrzeba wybrać, Elphegio, albo wyrzuty sumienia z wyrzeczeniem się zbrodni, albo zbrodnie bez wyrzutów. Uczyn jak ja: wybierz drugie, to lepsze, a przynajmniej weselsze.

— Oh! żeby w wieczności — rzekła hrabina półgłosem — nie powtórzono ci tych słów twoich, Musdoemonie!

— No, no, moja droga, porzućmy te żarty, albo jeżeli wierzysz w wieczność, to nabierz przekonania, że nieodwołalnie do piekła należysz. Na cóż się więc zda kilka lat pokuty na ziemi? Wieczność i tak nie będzie krótszą.

Poczem, siadając obok hrabiny i obejmując ją za szyję — mówił dalej:

— Elphegio, staraj się pozostać, jeżeli nie fizycznie, to przynajmniej moralnie, tem, czem byłaś temu lat dwadzieścia.

Nieszczęśliwa hrabina miała tyle siły, że wywzajemniła się za tę odpychającą pieściznę. W występnym tym uścisku dwóch istot, które nienawidziły się i pogardały sobą wzajemnie, było coś zbyt oburzającego nawet dla tych dusz upadłych. Nieprawie ich pieścizny, stanowiące kiedyś ich szczęście, do których dziś jeszcze się przymuszali, były dla nich prawdziwą męczarnią. Dziwna i sprawiedliwa zmiana ich uczuć występnych! Ich zbrodnie karą się dla nich stała.

Hrabina, aby skrócić tę męką zbrodniczą — zapytała wreszcie swego ohydneho kochanka, wyrrywając się z jego objęcia — jakie ustne polecenie maż jej mu powierzył.

— Ahlefeld — rzekł Musdoemon — widząc, że władza jego wzmoeni się jeszcze przez małżeństwo Ordenera Guldenlew z naszą córką...

— Naszą córką! — zawołała hrabina, a jej spojrzenie, na Musdoemona zwrócone, przybrało znowu wyraz dumy i pogardy.

— Ależ — rzekł zimno posłaniec — zdaje mi się, że Ulryka może należeć do mnie tak dobrze, jak i do niego. Mówiłem więc, że małżeństwo to nie zadawała w zupełności twego męża, jeżeli jednocześnie Schumacker stanowczo nie upadnie. Z głębi swego więzienia, ten stary ulubieniec jeszcze jest tak groźnym, jakby był w swoim pałacu. Ma on na dworze przyjaciół mało znaczących, ale jednak potężnych, być może dlatego właśnie, iż na pozór są mało znaczącymi. Przytem król, dowiedziawszy się przed miesiącem, że negocjacye wielkiego kanclerza z księciem Halstein-Ploen szły niepomyślnie — zawołał z niecierpliwością: — Griffenfeld sam jeden prędzejby to potrafił dokonać, aniżeli wszyscy oni razem. — Jakiś intrygant, imieniem Dispolsen, przybyły z Munckholmu do Kopenhagi, miał u niego kilka sekretnych posłuchań, po których król zażądał od kanclerstwa dokumentów szlachectwa i własności dóbr Schumackera. Niewiadomo, do czego ten ostatni dążyć może, ale choćby chciał tylko wolności, to chęć ta dla więźnia stanu jest już pragnieniem władzy. Potrzeba więc, aby umarł, ale przytem aby

śmierć ta nastąpiła z wyroku sądowego. Pracujemy więc nad tem, żeby ukuć dla niego jaką zbrodnię. Maż twój, Elphegio, pod pozorem zwiedzenia incognito prowincyj północnych, pragnie sprawdzić osobiście rezultat naszych knowań między górnikami, których chcemy pobudzić do podniesienia w imię Schumackera buntu, który później z łatwością da się przytłumić. Najbardziej nas niepokoi utrata różnych papierów, dotyczących tego planu, a które, jak sądzimy, są w ręku Dispolsena. Dowiedziawszy się, że wyjechał z Kopenhagi do Munckholmu, wioząc dla Schumackera jego pargaminy, dyplomy, a może i dokumenty, które nas mogą zgubić, a przynajmniej skompromitować, urządziliśmy w wąwozach Kole zasadzkę, gdzie miano mu odebrać papiery, a jego sprzątnąć. Ale jeżeli, jak powiadają, Dispolsen przybył do Berghen morzem, w takim razie daremne były nasze zabiegi. Słyszałem jednak, przybywszy tutaj, jakieś pogłoski o zabiciu kapitana Dispolsen. Zresztą, zobaczymy. Obecnie zaś poszukujemy głośnego rozbójnika, którego nazywają Hanem z Islandyi, ponieważ chcielibyśmy postawić go na czele powstania górników. A ty, moja droga, cóż mi powiesz nowego? Czy piękny ptaszek w Munckholm wleciał już do klatki? Czy córka starego ministra stała się już ofiarą naszego *falco-fulvus*, naszego syna Fryderyka...?

Hrabina, uniesiona znowu swoją dumą, zawołała:

— Naszego syna!

— Ileż on lat mieć może? Dwadzieścia cztery, a znamy się już dwadzieścia sześć lat, Elphegio.

— Bogu wiadomo — zawołała hrabina — że mój Fryderyk jest prawym dziedzicem wielkiego kanclerza.

— Chociaż Bogu wiadomo — odpowiedział ze śmiechem posłaniec — dyabeł jednak może o tem nie wiedzieć. Zresztą, twój Fryderyk to roztrzepaniec, który mi wcale chluby nie przynosi i doprawdy o taką drobnostkę nie warto się kłócić. On tylko zdolny dziewczyny uwodzić. A tym razem, czy tego dokonał?

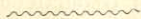
— Jeszcze nie, o ile wiem.

— Ależ staraj się, Elphegio, grać rolę więcej niż dotąd czynną w naszych interesach. Ja i mąż twój, jak widzisz, wcale nie zasypiamy. Co do ciebie, nie ograniczaj się, jeśli łaska, na wznoszeniu modłów za nasze grzechy, jak Madonna, której pomocy wzywają Włosi, popełniając morderstwo. Potrzeba również, aby Ahlefeld pomyślał o hojniejszym dla mnie niż dotąd wynagrodzeniu. Los mój złączony jest z waszym, ale znudziło mi się już być służalcem męża, kiedy jestem kochankiem żony i nie chcę nadal zostawać guwernerem, profesorem i pedagogiem, będąc prawie ojcem...

W tej chwili północ wybiła i weszła jedna z kobiet hrabiny, przypominając jej, że podług reguły pałacu, o tej godzinie wszystkie światła winny być zgaszone.

Hrabina szczęśliwa, że mogła zakończyć tak przykrą rozmowę, przywołała swoje służebne.

— Pani hrabina raczy zezwolić — rzekł Musdemon wychodząc — abym cieszył się nadzieją, że jutro ją zobaczę i złożę u jej stóp moje najgłębsze uszanowanie.



VIII.

Musiałeś go zamordować; masz spojrzeć zabójcy, a wyraz twój twarzy złowieszczy jest i dziki

Schakspeare „Sen nocy letniej.“

— Na honor! starcze — rzekł Ordener do Spiagudrego — zacząłem już myśleć, że w tym domu otwieranie drzwi do obowiązku umarłych należy.

— Przebaczenie panie — odpowiedział Spiagudry — w którego uszach brzmiały jeszcze tytuły króla i wice-króla, a powtarzając swoją wymówkę, dodał:

— Spałem tak głęboko...

— W takim razie, twoi umarli nie spali widać i ich to zapewne słyszałem przed chwilą rozmawiających.

— Jakto, panie nieznajomy, wyście słyszeli?...

— Najdoskonalej, ale co mnie to obchodzić może? Nie przyszedłem tu dla zajmowania się twojemi interesami, lecz przeciwnie, aby ciebie mojemi zatrudnić. Wejdźmy więc.

Spiagudry wcale nie miał ochoty wprowadzić nowo przybyłego do sali, gdzie leżało ciało Gilla, ale

ostatnie te słowa uspokoiły go nieco, a wreszcie, czyż był w stanie jaki opór stawić?

Wpuścił przeto młodego człowieka i zamykając drzwi, rzekł:

— Benignus Spiagudry jest na rozkazy wasze we wszystkim, co tylko nauk ludzkich dotyczyć może. Wszakże, jeżeli pan sądzisz, że mówisz z czarnoksiężnikiem, jak to pańskie nocne odwiedziny zdają się znamionować, w takim razie mylisz się zupełnie. *Ne femam credas*, jestem tylko uczonym. Wejdźcie zresztą panie, do mojego laboratorium.

— O nie — rzekł Ordener — nie do laboratorium, ale do umarłych iść musimy.

— Do umarłych! — zawołał Spiagudry, zaczynając drzeć na nowo. — Ależ pan ich nie możesz widzieć.

— Jak to, nie mogę widzieć ciał, które dlatego tylko tam są złożone, aby je oglądano? Powtarzam ci, mości dozorczo, że chcę żądać od ciebie pewnych objaśnień względem jednego z nich; twoim obowiązkiem jest mi ich udzielić. Bądź posłusznym, starcze, z dobrej woli, bo w przeciwnym razie] zagnę cię do tego.

Spiagudry przejęty był wielkim szacunkiem dla szabli, a widział ją u boku Ordenera.

— *Nihil non arrogat armis*] — wyszeptał i wyszukawszy w pęku klucza, otworzył kratę, poczem wprowadził nieznanego do drugiej połowy sali.

— Pokaż mi ubranie kapitana — rzekł Ordener

W tej chwili lampa oświeciła skrwawioną głowę Gilla Stadt.

— Sprawiedliwy Boże! — zawołał Ordener — jakaż okropna profanacya!

— Święta Opatrzności, miej litość nade mną! — wyszeptał dozorca.

— Starcze! — mówił dalej Ordener groźnym głosem — czyż tak daleko jesteś od grobu, że ośmielasz się gwałcić winne dla niego poszanowanie i nie obawiasz się, nieszczęśliwy, aby żyjący nie nauczyli cię tego, co się umarłym należy?

— Łaski! — zawołał biedny dozorca — to nie ja.. gdybyś pan wiedział!.. — tutaj zatrzymał się, bo przyszy mu na myśl słowa małego człowieka: *bądź wierny i miłcz*.

— Czy nie widzieliście, panie, człowieka, wychodzącego przez ten otwór? — zapytał po chwili przytłumionym głosem.

— Tak jest. Czy to twój współnik?

— O nie, panie, on sam tylko jest sprawcą tej zbrodni Przysięgam na potępienie wieczne, na błogosławieństwo niebieskie, na to ciało nawet, tak niegodnie sprofanowane!

Mówiąc to, Spiagudry rzucił się do nóg Ordenera, a jakkolwiek był odrażającym, to jednak rozpacz, zakłęcia i wyraz prawdy w jego słowach, zdołały przekonać młodego człowieka.

— Powstań starcze — rzekł — jeżeliś nie znievažył śmierci, nie kalaj również swojej starości.

Dozorca powstał — Ordener zaś mówił dalej:

— Kto więc jest ten zbrodniarz?

— Ani słowa więcej, szlachetny panie! Pan nie wiesz o kim mówisz!

I Spiagudry powtarzał do siebie:

— *Bądź wierny i milcz!*

— Cóż to za tajemnicza i groźna istota?—spytał Ordener.—Chcę ją poznać.

— Na imię nieba, panie! nie mów pan tak, zamilknij z bojaźni...

— Bojaźń ust mi nie zamknie, ciebie zaś znagli do mówienia.

— Przebacz, mój młody panie! — rzekł zrozpaczony Spiagudry — nie mogę...

— Możesz, ponieważ ja tego chcę. Musisz wymienić świętokradcę!

Spiagudry chciał jeszcze użyć wybiegu.

— A więc, szlachetny panie—powiedział—świętokradcą jest zabójca tego oficera.

— Oficer ten został zamordowanym? — zapytał Ordener, któremu ów zwrot przypomniał cel jego poszukiwania.

— Tak jest, panie.

— Ależ przez kogo, przez kogo?

— Zaklinam cię, panie, na imię Świętej, której matka twoja wzywała, na świat cię wydając, nie znałaj mnie, abym ci to miał powiedzieć.

— Gdyby wiadomość ta ważniejszą jeszcze dla mnie stać się mogła, tegoby ciekawość, jaką we mnie wzbudzasz, dokonała. Rozkazuję ci więc wymienić tego mordercę.

— A więc panie—powiedział Spiagudry—chciej zauważyć na ciele tego nieszczęśliwego głębokie rany,

zadane ostremi i długimi pazury. One mówią jasno, kto jest jego zabójcą.

I starzec pokazał Ordenerowi długie i wyraźne kresy na nagim i obmytym trupie.

— Jak to?—zapytał Ordener—a więc to jakieś dzikie zwierzę? niedźwiedź lub...

— O nie! mój młody panie.

— Ależ, jeżeli nie dyabeł...

— Ciszej! strzeż się pan, abys nie odgadł zbyt dobrze. Czyż pan nigdy nie słyszałeś — mówił dalej dozorca cichym głosem — o człowieku, czy potworze z ludzką twarzą, którego pazury są tak długie, jak szpony Astarotha, który nas zgubił, lub Antychrysta, który nas zgubi w przyszłości?

— Wyrażaj się jaśniej starcze!

— Nieszczęście! — mówi Apokalipsa...

— Ja chcę wiedzieć nazwisko mordercy!

— Mordercy?... panie zlituj się nade mną, miej litość nad sobą samym...

— Nie nadużywaj dłużej mojej cierpliwości.

— A więc, skoro chcesz tego, młody człowieku — prostując się, rzekł Spiagudry donośnym głosem — tym mordercą, tym świętokradcą jest Han z Islandyi.

Straszne to imię nie było obcem dla Ordenera.

— Jak to? — zapytał—Han! ten obmierzły rozbójnik!

— Nie nazywajcie go panie rozbójnikiem; rozbójnicy zwykle w bandy się łączą, on zaś żyje zawsze sam jeden.

— Skądże ty go znasz, nędzniku? Jakież wspólne zbrodnie zbliżyły was do siebie?

— Nie sądźcie z pozorów, szlachetny panie. Czyliż pień dębu ma być dla tego jadowitym, że w niem wąż znajduje dla siebie kryjówkę?

— Dosyć tych próżnych słów; złoczyńca za przyjaciela mieć tylko może współnika.

— Nie jestem jego przyjacielem, a jeszcze mniej współnikiem; jeżeli zaś moje słowa nie przekonały cię panie, w takim razie chciej się zastanowić, że ta ohydna profanacya, jak tylko przyjdą po ciało Gilla Stadt, wystawi mnie na karę, dla świętokradców naznaczoną i wprowadzi w najstraszliwsze położenie, w jakim kiedykolwiek niewinny, jak ja, człowiek mógł się znajdować.

Względy interesu osobistego większe jeszcze sprawiły wrażenie na Ordenerze, niż błagający głos biednego dozorca. Względy te również, w znacznej części zapewne, wywołały jego patetyczny, choć bezużyteczny opór przeciw świętokradztwu, którego dopuścił się mały człowiek.

Ordener zastanowił się chwilę, a przez ten czas Spiagudry starał się wyczytać z jego twarzy—czy przerwa ta miała stanowić o pokoju, czy też sprowadzić nową burzę.

Nakoniec młody człowiek głosem surowym lecz spokojnym rzekł:

— Stareze! mów prawdę. Czy znalazłeś przy tym oficerze jakie papiery?

— Żadnych, klnę się na honor!

— A Han czy ich przy nim nie znalazł?

— Nie wiem; przysięgam!

— Nie wiesz? A czy wiesz, gdzie przebywa ten Han z Islandyi?

— On nigdzie stale nie przebywa, ciągle się włóczy po kraju.

— Choćby i tak było, musi przecież mieć miejsca, gdzie czasami znajduje schronienie?

— Poganin ten — mówił starzec półgłosem — ma tyle kryjówek, ile gwiazda Syryusza ma promieni...

— Proszę cię jeszcze raz, abys mówił wyraźniej. Dam ci dobry przykład, słuchaj: zostajesz w jakimś tajemniczym związku z tym bandytą, chociaż utrzymujesz, że nie jesteś jego współnikiem. Skoro go znasz, musisz przeto wiedzieć, dokąd się teraz udał. Nie przerywaj mi. Jeżeli nie jesteś jego współnikiem, w takim razie pomożesz mi, abym go wyszukał.

Spiagudry nie mógł pohamować swej bojaźni.

— Wy, szlachetny panie, wy, wielki Boże! co jesteście pełni młodości i życia, mielibyście szukać i wyzywać tego dyabła wielonego? Wprawdzie Ingjald zwałczył olbrzymia Nyctolma, ale miał przecież cztery ręce...

— A więc — rzekł Ordener z uśmiechem — jeżeli potrzeba czterech rąk, to będziesz moim przewodnikiem...

— Ja! pańskim przewodnikiem? Jak pan możesz szydzić z biednego starca, który sam już niemal przewodnika potrzebuje.

— Posłuchaj—przerwał Ordener—nie chciej tylko żartować sobie ze mnie. Jeżeli ta profanacya, w której, jak chcę wierzyć nie przyjąłeś udziału, wystawia cię na karę za świętokradztwo, w takim razie nie mo-

żesz przecie tutaj pozostać. Musisz zatem uciekać. Biorę cię więc pod swoją opiekę, ale pod tym warunkiem, że mnie zaprowadzisz do kryjówki tego rozbójnika. Bądź moim przewodnikiem, a ja będę twoim obrońcą; powiem ci więcej, — jeżeli wynajdę Hana, w takim razie — żywego czy umarłego, tutaj go przyprowadzę. Będziesz mógł udowodnić swoją niewinność, ja zaś ze swej strony przyrzekam ci, że powrócisz do swoich obowiązków. A na teraz, masz oto więcej talarów królewskich, aniżeli twój urząd przez cały rok ci ich przynosi.

Ordener, wstrzymując się z workiem aż do końca, zachował w swoich argumentach stopniowanie, odpowiednie do zdrowych zasad logiki. Argumenta te jednak same przez się nie pozostały bez wpływu na Spiagudrego. Najpierw wszakże chwycił za worek.

— Macie słuszność, szlachetny panie — powiedział następnie i oczy jego, spuszczone dotychczas, skierowały się na Ordenera. — Jeżeli z panem pójdę, wystawiam się na zemstę straszego Hana; jeśli zostanie, wpadnę jutro w ręce Orugixa... A jak też tracą świętokradców? Zresztą, mniejsza o to. W obydwóch razach życie moje jest w niebezpieczeństwie; idąc jednak za słuszną uwagą Saemonda Sigfussona, nazywanego mędrcem, że *inter duo pericula aequalia, minus immi-nens eligendum est*, — będę ci panie towarzyszył. Tak, panie, będę twoim przewodnikiem. Nie zapomnij jednak, że robiłem wszystko, co było w mej mocy, aby cię odwrócić od tego niebezpiecznego zamiaru.

— Niechaj się co chce stanie, ale w każdym razie, starcze, liczę na twoją uczciwość — rzekł Ordener, rzucając badawcze spojrzenie na dozorcę umarłych.

— Ah! panie — odpowiedział tamten — uczciwość Spiagudrego jest tak czystą, jak złoto, które mi ofiarowałeś tak łaskawie.

— Niech więc taką będzie, bo inaczej dowiodę ci, że żelazo, które mam przy boku, jest w równie dobrym gatunku, jak i moje złoto. Ale przedewszystkiem powiedz mi, mości Spiagudry, gdzie się obecnie ten Han z Islandyi znajdować może?

— Ponieważ cała południowa część Drontheimhuusu zajęta jest przez wojska, które wielki kanclerz nie wiem dlaczego tu sprowadził, Han przeto musiał udać się do grotty Walderhoga lub też do jeziora Smiasen. Należy nam przeto udać się na Skongen.

— Kiedy będziesz mógł puścić się w drogę?

— Jutro, jak tylko noc nadejdzie i zamknę drzwi Spladgestu, pański sługa rozpocznie obowiązki przewodnika, dla których pozbawi umarłych swojej opieki. Przedtem wynajdziemy jaki sposób ukrycia przez cały dzień przed oczyma ludu pokaleczonego trupa tego górnika.

— Gdzież więc znajdę cię dziś w wieczór?

— Na wielkim placu w Drontheim, jeśli pan nie masz przeciw temu, przy figurze Jezusa, a przedtem Frei, która osłoni mnie zapewne swoim cieniem, przez wdzięczność za pięknego dyabła, wyrzeźbionego moim kosztem u jej stóp.

— Zgoda. Umowa zatem zawarta?

— Zawarta! — powtórzył dozorca.

Zaledwie wymówił te słowa, kiedy nagle dało się słyszeć mruczenie, jakby z po nad nich pochodzące.

Spiagudry zadrżał.

— Co to jest? — zapytał.

— Nie — odparł Ordener równie zdziwiony — zapewne oprócz nas jest tu jeszcze kto żyjący.

— Przypominasz mi pan mego pomocnika Ogdypiglapa, który bezwątpienia śpi tak hałaśliwie. La-pończyk, według biskupa Arngrima, robi tyle hałasu we śnie, ile kobieta na jawie.

Rozmawiając w ten sposób, zbliżyli się do drzwi Spladgestu. Spiagudry powoli je otworzył.

— Żegnam was, młody panie — rzekł do Ordenera — niechaj was niebo radością obdarzy. Do widzenia dziś wieczór. Jeżeli w drodze waszej przecho-
dzić będziecie około krzyża, to pomódlcie się panie za waszego nieszczęśliwego sługę, Benignusa Spiagudry.

I pospiesznie zamknąwszy drzwi, z obawy, aby go niespostrzeżono, jak również, aby swą lampę zasłonić przed porannym wiatrem, Spiagudry powrócił do trupa Gilla i zajął się ułożeniem jego głowy tak, aby rano nie była widoczną.

Potrzeba było nader ważnych powodów, iżby bo-
jaźliwy dozorca zgodził się na awanturniczą propozycję
nieznajomego. Na postanowienie jego głównie wpły-
wały — pierwsze: obawa Ordenera i kata Orugixa; dru-
gie: dawna nienawiść do Hana z Islandyi, do której
jednak sam sobie nie śmiał się przyznać, tak ją strach
przytłumiał; trzecie: miłość nauki, dla której jego podróz
mogła być użyteczną; czwarte: zaufanie w swoją prze-
biegłość, że się zdoła ukryć przed Hanem; piąte: spe-
kulacyjny pociąg do pewnego metalu, zawierającego
się w worku młodego awanturnika którym też prawdo-
podobnie napełnioną była szkatułka skradziona kapi-

tanowi, przeznaczona dla wdowy Stadt, a która to szka-
tułka z tego powodu łatwo mogła zmylić drogę.

Ostatnią wreszcie pobudką była nadzieja, że
wcześniej czy później wróci do miejsca, które teraz
opuszczał. Cóż go zresztą obchodzić mogło, czy młody
podróżny zabije Hana, czy też Han podróżnego? W tym
punkcie swego marzenia, nie mógł się wstrzymać od
wymówienia głośno:

— W każdym razie przybędzie mi jeden trup
więcej.

Nowe mruczenie dało się znowu słyszeć, a nie-
szczęśliwy odzwierny zadrżał powtórnie.

— To nie chrapanie Ogdypiglapa — rzekł — głos
ten z zewnątrz pochodzi.

Po chwili jednak zastanowienia zawołał:

— Jakżem nierozsądny, że się tak obawiam: to
pewnie brytan portowy obudził się i szczeka.

Ułożywszy poranionego trupa Gilla i zamkną-
wszy wszystkie drzwi, rzucił się na swój tapczan, aby
odpocząć po trudach kończącej się nocy i nabrać sił
na noc, która dopiero nadejść miała.

IX

Julia.

Czy sądzisz, że się jeszcze kiedy zobaczymy?

Romeo.

Nie wątpię o tem wcale. Wszystkie te troski staną się miłym przedmiotem rozmowy przyszłych dni naszych.

Shakspeare „Romeo i Julia“.

Zgasła już latarnia munckholmskiego zamku, a na jej miejscu błyszczał zdaleka helm żołnierza straży, jakby gwiazda ruchoma, odbijając promienie wschodzącego słońca, kiedy Schumacker, oparty na ramieniu swej córki, zszedł podług zwyczaju do ogrodu, otaczającego jego więzienie. Oboje niespokojną noc spędzili; starzec nie śpiąc wcale, młoda dziewczica przyjemnym oddając się marzeniom. Przechadzali się jakiś czas w milczeniu, wreszcie przerwał je starzec, zwracając na swą córkę spojrzenie poważne i smutne.

— Rumienisz się i sama do siebie uśmiechasz — rzekł — szczęśliwą jesteś, Ethel, bo nie rumienisz się za swoją przeszłość, a do przyszłości uśmiechasz.

Ethel zarumieniła się jeszcze bardziej, a uśmiech znikł z jej ust koralowych.

— Panie i ojeze mój — rzekła zmieszana — przyniosłam książkę Eddy.

— A więc czytaj ją, moja córkó — rzekł Schumacker i w głębokiem pogrążył się marzeniu.

Po chwili, ponury więzień, siedząc na czarnej skale, na którą ciemna jodła cień swój rzucała, słuchał słodkiego głosu dziewczicy, znajdując w tem rozkosz, jaką podróżny widzi w szmerze strumyka, w którym czerpie życie dla siebie.

Ethel czytała o pasterce, co wzgardziła królem dopóki nie dowiedł, że był dzielnym wojownikiem. Książę Regner Lodbrog otrzymał jej rękę dopiero po zwycięztwie, odniesionem nad rozbójnikiem z Klipstadur, Ingolphem Tępicielem.

Nagle odgłos kroków po liściach przerwał czytanie, Schumackera zaś wyrwał z zamyślenia. Porucznik Ahlefeld wyszedł z po za skały, za którą siedzieli. Ethel spuściła oczy, poznawszy tego, co tylko przeskadzać umiał, — oficer zaś zawołał:

— Na honor, piękna panno, twemi czarującemi ustami wymówiłaś imię Ingolpha Tępicieła; słyszałem je i zdaje mi się, że to mówiąc o jego potomku, Hannie z Islandyi, doszłaś pani aż do niego samego. Panny lubią bardzo rozmawiać o rozbójnikach. A właśnie o Ingolphiu i jego rodzie wiadome mi są historye bardzo ciekawe, chociaż i przestraszające zarazem. Ingolph Tępicieł miał tylko jednego syna, zrodzonego z czarownicy Thoarki; syn ten również miał jednego tylko potomka, także z czarownicy. Od czterech wieków rasa ta zawzięła się na zgubę Islandyi, wydając zawsze pojedynczą tylko latorośl, z której wyra-

stała jedna tylko gałąź. Z tego szeregu dziedziców, piekielny duch Ingolpha doszedł zdrów i cały do sławnego Hana z Islandyi, który zapewne przed chwilą miał szczęście zajmować dziewicze pani myśli.

Oficer zatrzymał się chwilę. Ethel milczała zakłopotana, Schumacker zaś ze znudzenia. Ucieszony, że go słuchano przynajmniej, oficer mówił dalej:

— Rozbójnik z Klipstadur nie zna innego uczucia prócz nienawiści do ludzi; innych zabiegów jak żeby im szkodzić...

— To mędrzec! — przerwał nagle starzec.

— Żyje zawsze sam jeden — ciągnął dalej porucznik.

— Szczęśliwy! — rzekł Schumacker.

Porucznik ucieszony był tą dwukrotną odpowiedzią, która zdawała się upoważniać go do dalszej rozmowy.

— Niechaj nas strzeże bóg Mithra — zawołał — od takich mędrców i od takich szczęśliwych! Przekleństwo dla złośliwego wiatru, który przypędził do Norwegii ostatniego szatana Islandyi. Żle się wyraziłem, nazywając wiatr złośliwym, ponieważ, jak powiadają, szczęście posiadania Hana z Klipstadur winni jesteśmy jakiemuś biskupowi. Jeśli można wierzyć podaniu, kilku włościan islandzkich znalazło na górze Bessested małego Hana, który był dzieckiem jeszcze; chcieli go zabić, jak Astyages zabił lwiatko z Baktryany, ale biskup Scalhat oparł się temu w nadziei, że z dyabła uczyni chrześcijanina. Dobry biskup użył wszelkich środków, aby rozwinąć tę

piekielną inteligencją, zapomniawszy, że w cieplarni Babilonu cykuta nie zamieniła się w lilię. To też szatański młodzieniec wypłacił mu się, uciekając jednej pięknej nocy na pniu drzewa przez morze, postarawszy się przedtem, aby mu przyświecał w drodze pożar biskupiego zamku. Otóż to, w jaki sposób, według starych przadek Norwegii, Islandczyk ten, który, dzięki swemu wychowaniu, jest zupełnym potworem i skończonym bandytą, przybył do Norwegii. Od tego czasu, zawalenie kopalni w Faroer, przyczem trzystu robotników śmierć znalazło; zrzucenie ruchomej skały Goklyn na wieś, po nad którą się wznosiła; zawalenie się ze skał mostu Broen, wraz z przechodzącymi podróżnymi; spalenie katedry w Drontheim; gaszenie nadbrzeżnych latarni morskich podczas burzliwych nocy i mnóstwo zbrodni i morderstw, o których najlepiej powiedzieć mogą jeziora Sparbo i Smiasen, groty Walderhoga i Rylassa, albo wąwozy w Dohrefield, — oto dzieła wymownie świadczące o pobycie w Drontheimhus tego Arymana wcielonego. Stare kobiety twierdzą, że po każdej zbrodni jeden włos więcej na jego brodzie wyrasta; w takim razie broda ta musi być gęstszą niż u najstarszego maga asyryjskiego. Piękna pani ze chce przeto wiedzieć, że rząd niejednokrotnie starał się schwycić człowieka, któremu broda tak rośnie...

— I wszystkie te usiłowania były daremne? — rzekł Schumacker z tryumfującym spojrzeniem i ironicznym uśmiechem. — Winszuję wielkiemu kanclerstwu!

Oficer nie zrozumiał sarkazmu byłego wielkiego kanclerza.

— Tak trudno dotąd było schwytać Hana, jak kiedyś Horacyusza nazwanego Koklesem. Starzy żołnierze, młodzi żandarmi, wieśniacy, wszystko to ginie, albo przed nim ucieka. To prawdziwy szatan, którego równie trudno uniknąć, jak i dogonić; największe szczęście, jakie może spotkać szukających, jest nie znaleźć go.

Łaskawą panią — mówił dalej, siadając poufale obok Etheli, która przysunęła się do ojca — dziwią zapewne wszystkie szczegóły, dotyczące tej nadnaturalnej istoty. Podania te zebrałem nie bez zamiaru. Zdaje mi się, i byłbym nader szczęśliwym, gdyby moja zachwycająca słuchaczka jednego ze mną była zdania, że przygody Hana mogłyby dostarczyć treści do wybornego romansu, w rodzaju przepysznych opisów panny Seudery, *Artamena* albo *Cleli* — których przeczytałem dopiero sześć tomów, — będących w moich oczach prawdziwym arcydziełem. Trzebaby, rozumie się, złagodzić nasz klimat, upiększyć podania, zmienić nasze imiona barbarzyńskie. Wtedy Drontheim przemieniłby się w *Dartinianum*, otaczające go lasy, na skinienie mej czarodziejskiej pałeczki, stałyby się cudnymi gajami, poprzerzynamymi przez tysiące strumyków, daleko poetyczniejszych, niż nasze brzydkie potoki. Czarne i głębokie jaskinie ustąpiłyby przed zachwycającymi grotami ze złoconych kamieni i muszli lazurowych. Jedną z tych grot zamieszkiwałby sławny czarnoksiężnik Hannus z Thule... Bo przynasz pani, że imię Hana z Islandyi wcale nie głaszcze uszów. Olbrzym ten (bo jakżeby bohater takiego dzieła nie był olbrzymem?), olbrzym więc ten pochodziłby w pro-

stej linii od bożka Marsa... (Ingolph Tepiciel nie przedstawia nic dla wyobraźni) i od wróżki Theony (wszak zρέcznie zmienione imię *Thoarki*?) córki Sybilli z Cumes. Hannus, wychowany przez wielkiego maga w Thule, uciekłby z jego pałacu na wozie, zaprzężonym w dwa smoki. Bo trzeba być bardzo ograniczonej wyobraźni, aby poprzestać na prostym podaniu o pniu z drzewa. Przybywszy pod łagodne niebo *Dartinianum* i upodobawszy sobie ten kraj czarujący, wybrałby go za mieszkanie i teatr swoich zbrodni. Nie byłoby łatwo odmalować rozboje Hana, a dla złagodzenia okropności, potrzebaby wymyśleć jaki romans. Pasterka Alcippa, naprzykład, pędząc swoje jagnięta przez gaj mirtów i drzew oliwnych, spotkałaby olbrzyma, który natychmiast ulega potędze jej oczów. Ale Alcippa kocha pięknego Lycidasa, oficera z milicyi, stojącej na kwaterze w jej wiosce. Olbrzyma rozgniewałoby szczęście setnika, setnik zaś nie mógłby znieść natarczywości olbrzyma. Pojmujesz pani, że wybujała wyobraźnia mogłaby otoczyć wielkim wdziękiem przygody Hannusa. Założyłbym się o moje buty krakowskie przeciw parze trzewików, że przedmiot ten, obrobiony przez pannę Seudery, oczarowałby wszystkie damy w Kopenhadze...

Słowo to wyrwało Schumackera z ponurego zamyslenia, w jakim był pogrążony przez cały czas popisywania się porucznika dowcipem.

— W Kopenhadze? — zapytał nagle. — Panie oficerze, co w Kopenhadze zaszło nowego?

— O ile wiem, to nic, na honor — odpowiedział porucznik — chyba to, że król zezwolił na ważne małżeństwo, zajmujące obecnie oba królestwa.

— Jak to! — przerwał Schumacker — jakie małżeństwo?

Zjawienie się czwartej osoby zatrzymało odpowiedź na ustach porucznika.

Wszyscy zwrócili oczy na wchodzącego. Ponura twarz więźnia rozjaśniła się, wesoła fizyognomia porucznika przybrała wyraz powagi, a słodkie oblicze Etheli, blade i zmieszane podczas długiego monologu oficera, zajaśniało życiem i radością. Przytem westchnęła głęboko, jakby z jej piersi spadł jakiś ciężar nieznośny, a jej uśmiech smutny i przelotny wystąpił na spotkanie nowo przybyłego. Był nim Ordener.

Starzec, młoda dziewczica i oficer byli względem Ordenera w szczególnem położeniu; wszystkich ich łączyła z nim pewna tajemnica, dlatego przeschadzali sobie wzajem. Powrót Ordenera do zamku nie zadziwił ani Schumackera, ani Etheli, którzy się go spodziewali, ale za to zdziwił porucznika. Przytem obecność tego ostatniego niemiłą była dla Ordenera; mógł bowiem lękać się niedyskrecyi co do sceny, jaka dnia poprzedniego miała miejsce. Milezenie jednak, wymagane w podobnym razie prawami honoru, uspokoiło go w tym względzie. Nie miał przeto powodu dziwić się, widząc oficera siedzącego spokojnie obok więźniów. Wszyscy oni jednak nie mogli nie sobie powiedzieć dopóki byli razem, właśnie dlatego, że pojedynczo mieli z sobą wiele do pomówienia. Opóćz przeto porozumiewających spojrzeń, przyjęto Ordenera zupełnie mileżąco.

Porucznik parsknął śmiechem.

— Na ogon królewskiego płaszcza, mój panie przybyszu, cisza ta podobną jest do milezeniem senatorów galijskich, kiedy Rzymianin Brennus... Tylko nie wiem, na honor, czy generał był Rzymianinem a senatorowie Gallami, czy też naodwrot? Ale mniejsza o to. Skoro pan przybyłeś, pomóż mi więc objaśnić naszego szanownego więźnia o tem, co się w świecie dzieje. Właśnie przed nagłym pańskim wejściem na scenę, mówiłem o małżeństwie, które obecnie zajmuje i Medów i Persów.

— O jakim małżeństwie? — spytali jednocześnie Ordener i Schumacker.

— Z kroju twego ubrania, panie nieznajomy, odgadłem już, że przybywasz z innego świata. Zapytanie to zmienia podejrzenie moje w zupełną pewność. Wczoraj zapewne wysiadłeś pan na brzegi Nidru, z wozu ciągniętego przez dwa gryfy skrzydlate, bo inaczej nie mógłbyś przejechać Norwegii, nie usłyszawszy o głośnem małżeństwie syna wice-króla z córką wielkiego kanclerza.

Schumacker zwrócił się do porucznika.

— Jak to! — zapytał — Ordener Guldenlew zaślubia Urlykę Ahlefeld?

— Tak jest, panie. I to nastąpi prędzej, aniżeli w Kopenhadze zmieni się moda na stroje.

— Syn Fryderyka musi mieć około dwudziestu dwóch lat, ponieważ byłem już od roku w fortecy w Kopenhadze, kiedy wieść o jego urodzeniu aż do mnie się dostała. Niechaj się żeni za młodu, — mówił dalej Schumacker z gorzkim uśmiechem — w chwili

niełaski, nie będą mu przynajmniej wyrzucać, że ma-
rzył o kapeluszu kardynalskim.

Była to aluzya do jego własnych nieszczęść, któ-
rej zresztą porucznik nie zrozumiał.

— Naturalnie, że nie — rzekł porucznik parska-
jąc śmiechem. — Baron Ordener otrzyma tytuł hra-
biego, łańcuch orderu Słonia i pułkownikowskie szlify,
co wszystko niebardzo się zgadza z kapeluszem
kardynała.

— Tem lepiej — odpowiedział Schumacker; po
przerwie zaś dodał kiwając głową, jak gdyby swą
zemstę miał przed oczyma: — Kiedyś, być może, za-
miast szlachetnego łańcucha, włożą mu na szyję obręcz
od pęgierza, nad czołem złamią jego hrabiowską ko-
ronę, spoliczkują pułkownikowskiemi szlifami.

Nie złorzeczcie w swej nienawiści, panie,
szczęściu nieprzyjaciela, nie wiedząc, czy ono jest szczęś-
ciem dla niego.

— Ale cóż obchodzić mogą barona Thorvick —
rzekł porucznik — przekleństwa starca?

— Wstrzymaj się poruczniku! — zawołał Orde-
ner. — Obchodzą go może więcej, aniżeli sądzisz.
A wasze głośne małżeństwo — mówił po chwili — nie
jest jeszcze tak pewnem, jak myślicie, panie poruczniku.

— *Fiat quod vis* — odparł oficer z ironicznym
ukłonem; — wprawdzie król, wice-król i wielki kan-
clerz życzą sobie i pragną tego związku, ale skoro
on nie podoba się panu nieznanomemu, w takim razie
mniej o kanclerza, wice-króla i samego króla nawet!

— Może masz pan słuszność — rzekł poważnie
Ordener.

— Ależ—zawołał porucznik, kładąc się od śmie-
chu—tego już za nadto. Chciałbym bardzo, aby ba-
ron Thorvick mógł słyszeć wróżbiarza, który tak do-
kładnie obznajmiony jest ze wszystkim, co tylko jego
przeznaczenia dotyczy. Wierzaj mi jednak, mości pro-
roku, że jeszcze za małą masz brodę, abys mógł być
dobrym czarnoksiężnikiem.

— Mości poruczniku — odpowiedział zimno mło-
dy człowiek — nie sądzę, aby Ordener chciał zaślubić
kobietę, nie kochając jej.

— Otóż są i morały książkowe. A któż wam
powiedział, mości nieznajomy w zielonym płaszczu, że
baron nie kocha Ulryki Ahlefeld?

— A was, jeśli łaska, kto zapewnił, że ją kocha?

Tutaj porucznik, jak to często bywa w zapale
rozmowy, uniósł się chęcią twierdzenia o rzeczy, której
wcale nie był pewny.

— Kto mnie upewnił? Zabawne pytanie! Na złość
dla pańskiego wróżbiarstwa, jest to małżeństwo tak
z wyrachowania, jak i ze skłonności, i wszyscy o tem
wiedzą.

— Wyjąwszy mnie — rzekł Ordener poważnie.

— Wyjąwszy pana, być może; ale pan nie wzbro-
nisz przecie synowi wice-króla kochać się w córce
kanclerza.

— Kochać się!

— Kochać się szalenie!

— Zapewne, że w takim razie musiałby chyba
oszaleć.

— Hola! nie zapominaj pan o kim i do kogo
mówisz. Moznaby powiedzieć, że syn wice-króla nie
może się zakochać bez pozwolenia tego prostaka.

Mówiąc to oficer powstał. Ethel zaś, widząc płomieniejące spojrzenie Ordenera, rzuciła się ku niemu.

— Och panie! — rzekła — przez łaskę, uspokój się, nie słuchaj tych obelg: co nas to może obchodzić, że syn wice-króla kocha się w córce kanclerza?

Ręka, którą położyła na sercu młodego człowieka, rozpędziła burzę; Ordener skierował na swoją Ethel spojrzenie upojenia pełne i nie słyszał już porucznika, który wracając do dawnej wesołości, zawołał:

— Spełniłaś pani z niewypowiedzianym wdziękiem rolę, jaką Sabinki odgrywały między swymi mężami i ojcami. Słowa moje były nieumiarkowane, zapomniałem — mówił dalej, zwracając się do Ordenera — o istniejącym między nami związku braterstwa, że my nie możemy się już wyzywać. Kawalerze, daj mi swą rękę. Pan również zapomniałeś, przyznaj to, że mówisz o synu wice-króla do jego przyszłego szwagra, porucznika Ahlefeld.

Na to imię, Schumacker, potrzący dotychczas na wszystko z niecierpliwą obojętnością — zerwał się ze swego kamiennego siedzenia, wydając krzyk okropny:

— Ahlefeld! Ahlefeld przy mnie! Żmija! Jakże mogłem nie poznać syna tego przekłętogo ojca! Pozostawcie mnie samego w moim więzieniu, nie jestem przecież skazany na znoszenie waszego widoku. Teraz potrzeba, abym obok syna Ahlefelda, ujrzał syna Guldenlewa... Podli! zdajcy! czemuż oni sami nie przyjdą się cieszyć łzami mego szaleństwa i wściekłości?! O nie-nawistny rodzie! synu Ahlefelda, opuść mnie natychmiast!

Oficer, zmieszany z początku żywością jego wyrzutów, odzyskał wkrótce przytomność i zawołał z gniewem:

— Cicho, stary szaleńcze! Czy prędko skończysz swą litanie dyabelską?

— Niechaj przekleństwo moje spadnie na ciebie i niecny ród Guldenlewa, który się ma z twoim połączyć!

— Do kroćset! — zawołał rozwścieczony oficer — podwójną mi zadajesz obelgę!...

Ordener powstrzymał oficera, który już nie był panem siebie.

— W nieprzyjacielu swoim uszanuj starca, poruczniku; mamy i tak już dać sobie zadostyczynienie, odpowiem wam przeto i za obelgi tego nieszczęśliwego.

— Dobrze — rzekł porucznik — ale zaciągas pan podwójny dług; walka będzie straszliwa, ponieważ pomścić muszę i siebie i szwagra mego. Zastanów się pan, że wraz z moją, podnosisz i rękawicę Ordenera Guldenlewa.

— Poruczniku Ahlefeld — odpowiedział Ordener — stajesz w obronie nieobecnych z zapalem, który dowodzi twojej szlachetności. Nie byłoby więc równie wspaniałomyślnem mieć litość nad starcem, któremu przeciwności losu dają pewne prawo być niesprawiedliwym.

Ahlefeld był jednym z tych ludzi, w których pochwałą można wzbudzić enotę. Ścisnął więc rękę Ordenera i zbliżył się do Schumackera, który wy-

czerpany uniesieniem, upadł na skałę, w objęcia zapłakanej Etheli.

— Panie Schumacker — rzekł — nadużyłeś pan swojej starości, a ja byłbym może nadużył młodości mojej, gdybyś nie znalazł tego oto obrońcy. Wszedłem dzisiaj po raz ostatni do waszego więzienia, jedynie dlatego tylko, aby wam oznajmić, że odtąd, według wyraźnego rozkazu wice-króla, możecie zostawać zupełnie wolni i bez straży w swojej wieży. Przyjmij więc pan tę dobrą nowinę z ust nieprzyjaciela.

— Odejdź pan — rzekł więzień głucho.

Porucznik skłonił się i wyszedł z ogrodu szczęśliwy, że zyskał pochwalające go spojrzenie Ordenera.

Schumacker pozostał jakiś czas z założonemi rękami i spuszczoną głową, pogrążony w zamyśleniu; nagle spojrzął na Ordenera, który przed nim stał milczący.

— No i cóż? — zapytał.

— Panie hrabio, Dispolsen został zamordowany.

Głowa starca opadła na jego piersi. Ordener zaś mówił dalej:

— Zabójcą jego jest sławny rozbójnik, Han z Islandyi.

— Han z Islandyi! — rzekł Schumacker.

— Han z Islandyi! — powtórzyła Ethel.

— Kapitana zupełnie obdarto — dodał Ordener.

— Nie słyszałeś więc nic — rzekł starzec — o szkatułce żelaznej z herbami Griffenfeldów?

— Nic, panie.

Schumacker spuścił głowę.

— Przyniosę ci ją, panie hrabio; zaufaj mi. Morderstwo popełnione zostało dopiero wczoraj, Han uciekł na północ. Mam przewodnika, który zna wszystkie jego kryjówki, sam również nieraz przebiegałem góry Drontheimhuusu. Doścignę więc tego bandytę.

Ethel zbladła. Schumacker podniósł się. Jego spojrzenie miało w sobie coś wesołego, jak gdyby rozumiał, że są na świecie cnotliwi ludzie.

— Szlachetny Ordenerze — rzekł — bądź zdrow!

I wznosząc rękę ku niebu, zniknął po za krzakami.

Ordener, odwróciwszy się, ujrzał na skałe mchem zarosłej Ethelę bladą podobną do statui z alabastru na czarnym piedestale.

— Sprawiedliwy Boże! — zawołał rzucając się ku niej i chwytając w swoje objęcia — co ci jest, o moja Ethel?

— Gdybyś uczuwał — odrzekła drżąca dziewczica głosem, który słyhać było zaledwie — nie miłość, ale chociaż litość dla mnie, o! panie, nie byłbyś mnie wczoraj zwodził nadaremnie, — bo chyba mnie zabić przyszedłeś do tego więzienia. Panie Ordener, Ordenerze mój, wyrzeknij się, zaklinam cię na imię nieba, na aniołów świętych, swego nierozsądnego zamiaru! Ordenerze, ukochany mój Ordenerze! dla mnie uczyn tę ofiarę.

I lzy polały się strumieniem z jej oczu, a głowa opadła na łono młodego człowieka.

— Nie ścigaj tego rozbójnika — mówiła dalej — tego straszego szatana, którego byś chciał zwalczyć. W czym interesie idziesz doń Ordenerze? Jakaż sprawa może być droższą dla ciebie, nad życie nieszczęśliwej, którą wczoraj jeszcze nazwałaś swoją ukochaną małżonką?...

Zamilkła, bo łkania oddech jej wstrzymały. Jej ręce oplotły szyję Ordenera, a w jego oczy wlepiała spojrzanie błagające.

— Napróżno się lękasz, moja Ethel uwielbiana. Bóg wspiera dobre zamiary, a ja chcę działać w twoim tylko interesie. Szkatułka ta zawiera...

Ethel przerwała mu szybko:

— W moim interesie? A cóż mnie obchodzić może tak, jak życie twoje? Jeżeli zginiesz, Ordenerze, cóż się ze mną stanie?

— Dlaczegoż myślisz, że zginę, Ethelo?...

— Ach, ty nie znasz tego Hana, tego piekielnego zbójcy! Czy wiesz przeciw jakiej dążysz poczwarze? Czy wiesz, że on rozkazuje wszelkim potęgom ciemności? że góry przewraca na miasta? że pod jego krokami zawalają się lochy podziemne? że technienie jego gasi latarnie morskie na wysokich skałach? I ty sądzisz, Ordenerze, że się oprzesz temu olbrzymowi, któremu szatan pomaga, przy pomocy twoich rąk białych i wątlego miecza?

— A modlitwy twoje, Ethelo, a myśl, że walczę dla ciebie? Wierzaj mi, moja Ethel, że znacznie przesadzono ci siłę i potęgę tego rozbójnika. Jest to człowiek, jak inni, który zadaje śmierć, dopóki sam nie stanie się jej łupem.

— Nie chcesz więc mnie usłuchać? Słowa moje nic dla ciebie nie znaczą? Pomyśl tylko co się stanie ze mną, gdy odejdiesz, gdy błąkać się będziesz pośród niebezpieczeństw, narażając nie wiem dlaczego dni swoje, które do mnie należą, i wystawiając je na łup tego potworu?

Tutaj opowiadanie porucznika przyszło jej na myśl, a miłość powiększyła jeszcze całą jego okropność. Mówiła więc dalej, a łkanie [głos jej przerywało:

— Wierzaj mi, ukochany mój Ordenerze, oszukano cię mówiąc, że to człowiek tylko. Powinieneś przecież więcej wierzyć mnie, aniżeli wszystkim, bo wiesz, że ja nie chciałabym cię oszukać. Tysiąc razy już starali się go zabić lub uchwycić, a on wytepił całe bataliony. Pragnęłabym, aby inni ci to powiedzieli, uwierzyłbyś im wtedy i wyrzekł się pewnie swego zamiaru.

Prośby biednej Etheli zachwiałyby może awanturniczem postanowieniem Ordenera, gdyby się był już tak daleko nie posunął. Słowa, które dnia poprzedniego rozpacz podyktowała Schumackerowi, przyszły mu na myśl i umocniły w postanowieniu.

— Mógłbym, droga Ethelo, powiedzieć ci, że nie pójdę, a mimo to spełnić moje zamiary; ale nie chcę cię zwodzić nawet dla uspokojenia twojego serca. Nie powinienem, powtarzam, wahać się między twemi łzami a tem, co cię obchodzić może. Idzie tu o los twój, o twoje szczęście, o życie nawet, o twoje życie, moja Ethelo...

I przycisnął ją do swego serca.

— A co mnie to wszystko obchodzić może?—odparła ze łzami. — Kochanku mój, radości moja, bo ty wiesz, że jesteś moją radością, nie obarczaj mnie nieszczęściem strasznym i nieuniknionem dla nieszczęść mniejszych i wątpliwych. Co mnie obchodzi mój los, moje życie?...

— Idzie tu także, Ethel, o życie twojego ojca...

Wyrwała się z jego objęcia.

— Mego ojca? — powtórzyła blednąc.

— Tak, Ethel. Rozbójnik ten, zapłacony bezwątowania przez nieprzyjaciół hrabiego Griffenfelda, ma w swem posiadaniu papiery, których utrata naraża na niebezpieczeństwo życie twojego ojca. Papiery te wraz z życiem wydrzeć mu muszę.

Ethel stała kilka chwil blada i milcząca; łzy jej przestały płynąć, wzdęte piersi oddychały z trudnością, przyémione oko patrzyło na ziemię spojrzeniem, jakim spogląda skazany na śmierć w chwili, kiedy się wznosi topór po nad jego głową.

— Mojego ojca! — wyszeptala.

Później oczy swoje skierowała zwolna na Ordenera.

— To, co chcesz uczynić, będzie nadaremne; uczyni to jednak.

Ordener przycisnął ją do swego łona.

— Szlachetna dziewico—rzekł—pozwól, niechaj twoje serce bije tuż przy mojem. O, kochanko moja! powrócę wkrótce do ciebie. Ty będziesz moja; ale chcę być zbawcą twego ojca, aby mieć prawo zostać jego synem. Moja Ethel, moja ukochana Ethel!...

Któż zdoła opisać, co się dzieje w sercu, które czuje, że jest pojętem przez drugie, równie szlachetne serce? A jeżeli miłość złączy te podobne sobie dusze wiecznotrwałym węzłem, któż zdoła odmalować ich niewypowiedzianą rozkosz? Uczuwa się wtenczas zjednoczone w jedną chwilę całe szczęście i całą chwałę życia, upiękkszowaną urokiem wspaniałomyślnego poświęcenia.

— Idź więc, Ordenerze mój, a jeśli nie powrócisz, zabije mnie boleść bez nadziei. Ta tylko zostaje mi pociecha.

Powstali oboje. Ordener otoczył ramieniem Etheli swoje ramię i uwielbianą dłoń jej ukrył w swojej dłoni. W ten sposób przeszli w milczeniu przez kręte aleje samotnego ogrodu i doszli nareszcie z niechęcią do drzwi, prowadzących do wieżycy. Tam Ethel, dobijając złote nożyczki, ucięła niemi promień swoich czarnych włosów.

— Weź tę pamiątkę, Ordenerze, niechaj ci towarzyszy, niechaj będzie szczęśliwszą ode mnie.

Ordener przycisnął do ust, jak relikwię, podarunek swojej ukochanej. Ona mówiła dalej:

— Myśl o mnie Ordenerze, ja zaś będę się modliła za ciebie. Modlitwa moja będzie może równie skuteczną u Boga, jak broń twoja dla szatana.

Ordener schylił głowę przed tym aniołem. Dusza jego za wiele czuła, aby usta mówić mogły. Milczeli więc, słysząc wzajemnie serc swoich bicie. W chwili kiedy ją miał opuścić, może na zawsze, Ordener, w smutnem uniesieniu doznawał niewysłowionego szczęścia, że raz jeszcze ukochaną Ethel trzymał w swoim objęciu. Nakoniec, składając czysty i długi pocałunek na zbladłem czole dziewicy, poskoczył gwałtownie pod ciemne sklepienie schodów, a po chwili usłyszał za sobą słodkie, lecz tak smutne słowo:

— Żegnaj!....

X

Nigdybys nie sądził, że ona jest nieszczęśliwą; wszystko, co ją otacza, zdaje się szczęście znamionować. Nosi złote naszyjniki i suknie z purpury. Gdy wyjdzie, tłum wazali klęka na jej spotkanie, a posłuszni paziowie rozkładają dywany pod jej nogami. Ale nikt jej nie widzi w samotnej komnacie, która dla niej tak jest drogą; wówczas bowiem płacze, a mąż nie słyszy jej.... Ta nieszczęśliwa — to ja. Jestem małżonką człowieka poważanego, szlachetnego hrabiego, matka dziecięcia, którego uśmiech nóż mi wbija do serca.

Maturin „Bertram.“

Ty wiesz, że serce matki nie wy-
czerpanem jest w boleści.

Al. Soumet.

Hrabina Ahlefeld spędziła noc bezseną. Siedziała ona, albo leżała raczej na bogatej sofie, rozważając gorzkie wspomnienia nieprawych uciech, rozmyślając o zbrodni, zużywającej życie radością bez szczęścia i boleścią bez pociechy. Myślała o Musdoemonie, którego występne złudzenie przedstawiało jej kiedyś tak po-

wabnym; o Musdoemonie, który dzisiaj, kiedy go zbadać umiała i przez ciało widziała jego duszę, tak był okropnym i godnym pogardy. Nieszczęśliwa płakała, nie dlatego jednak, że się tak oszukała, ale, że już nadal oszukaną być nie mogła; był to smutek, lecz nie żal przeszłości: dlatego też łyż żadnej nie przyniosły jej ulgi.

W tej chwili otwały się drzwi; śpiesznie więc otarła swe oczy i obróciła się z gniewem, rozkazała bowiem, aby ją samą zostawiono.

Gniew jej, na widok Mosdoemona, zamienił się w przestрах, który pokryła jednak widząc wchodzącego również syna jej, Fryderyka.

— Jakim cudem jesteś tu, moja matko?—zawołał porucznik. — Sądziłem, że bawisz w Berghen. Czyżby nasze piękne panie przyjęły znowu modę ciągłego odbywania podróży?

Hrabina powitała Fryderyka pocałunkami, na które on, jak zwykle wszystkie zepsute dzieci, odpowiedział dość zimno. W tem właśnie zawierała się najdotkliwsza kara dla nieszczęśliwej matki. Fryderyk był jej ukochanym synem, jedyną na świecie istotą, dla której żywiła bezinteresowne przywiązanie; często bowiem w kobiecie upadłej, w której godność małżonki zupełnie jest skalaną, pozostaje jeszcze matka.

— Widzę, [mój synu, że dowiedziawszy się o moim pobycie w Drontheim, przybiegłeś natychmiast, aby mnie zobaczyć.

— Wcale nie, moja matko. Nudziłem się w fortecy, przyjechałem więc do miasta, gdzie spotkałem Musdoemona, a on mnie tutaj przyprowadził.

Biedna matka westchnęła głęboko.

— Bardzo jednak jestem szczęśliwy, moja matko, że cię mogę widzieć. Powiesz mi bowiem, czy kokardy z różowych wstążek u dołu kaftana są w modzie w Kopenhadze? A czy mama pamiętała przywieźć mi słoik tej oliwy młodości, od której tak skóra bieleje? Nie zapomniałaś także, kochana matko, ostatniego romansu tłumaczonego, ani złotych galonów, o które prosiłem cię, do mojego kaftana ognistego koloru, i tych małych grzebyków, co je wkładają pod fryzurę, aby się pukle lepiej trzymały, a wreszcie.....

Nieszczęśliwa hrabina nie przywiozła dla synalka nic, oprócz swego przywiązania, jakie jedno tylko serce jej żywiło.

— Byłam chora, mój drogi synu, a moje cierpienia nie pozwoliły mi myśleć o twoich przyjemnościach.

— Byłaś chora, moja matko? No, ale teraz czujesz się przecież lepiej? A jak się też ma moja sfora psów normandzkich? Założyłbym się, że zapomniano kapać co wieczór moją małą papugę w wodzie różanej. Przekonacie się, że za powrotem zastanę swoją papugę Bilbao już nieżywą..... Jak tylko wyjadę, to nikt nie myśli o moich zwierzątkach.

— Matka twoja jednak myśli o tobie, mój synu — rzekła hrabina wzruszonym głosem.

Nawet anioł niszczyciel, w nieubłaganą godzinę, w której występne dusze rzuca na wieczne katusze, miałby litość nad cierpieniem, jakie w tej chwili pożerało serce nieszczęśliwej hrabiny.

Musdoemon śmiał się w głębi pokoju.

— Panie Fryderyku — rzekł — widzę, że miecz stalowy nie chce zardzewieć w żelaznej pochwie. Nie straciłeś pan w wieżach munckholmskiego zamku salonowych zwyczajów Kopenhagi. Ale chciej mi powiedzieć, po co ta oliwa młodości, te różowe wstążki i grzebyki? Na co te przygotowania do oblężenia, jeżeli jedyna forteca w postaci kobiety, która się znajduje w wieżach Munckholmu, jest nie zdobytą?

— Rzeczywiście, że nie do zdobycia, na honor — odpowiedział Fryderyk ze śmiechem. — Jeżeli mnie się nie powiodło, to i generał Schack z pewnością osiadłby na piasku. Bo jakże zdobyć twierdzę, w której wszystko ciągle jest zakryte i strzeżone bez przerwy? Co poradzić przeciw tym mniszym rąbkom, które szyją tylko pozwalają widzieć? przeciw rękawom, okrywającym całe ramiona tak dalece, że tylko z twarzy i rąk sądzić można, iż panna nie jest czarna, jak cesarz maurytański? Kochany nauczycielu, byłbyś przy niej jak student. Forteca, w której skromność stanowi załogę, nie jest do zdobycia.

— Zapewne! ale gdyby jednak — rzekł Musdoemon — zmusić ową skromność do poddania się, pchnąwszy miłość do szturm, zamiast ograniczania się na oblężeniu przez drobne grzeczności?

— Darenne trudy. Miłość dostała się wprawdzie do tej twierdzy, ale ona właśnie skromności w pomoc przychodzi.

— A to coś nowego, panie Fryderyku. Z miłością dla was....

— A kto wam powiedział, panie Musdoemon, że to dla mnie?

— Dla kogóż więc?—zawołali razem Musdoemon i hrabina, słuchająca dotąd w milczeniu, z którego wyrwały ją słowa porucznika, przywodząc na myśl Ordenera.

Fryderyk miał już odpowiedzieć i przygotował się do dowcipnego opowiadania nocnej sceny z dnia poprzedniego, kiedy nagle stanął mu na myśli obowiązek milczenia, przez prawo honoru nakazany i jego wesołość zmienił w zakłopotanie.

— Na honor, nie wiem dla kogo, pewno dla jakiego prostaka, może... wazala... — rzekł wybuchając przymuszonym śmiechem.

— Czy być może, mój synu!—zawołała hrabina.— I jesteś tego pewnym, że ona kocha jakiegoś chłopca, wazala.....? Coby to było za szczęście, gdybyś tylko był pewny!

— Ależ najzupełniej jestem pewny. Nie jest to jednak żołnierz z załogi — dodał porucznik z niezadowolaniem. — A o tyle jestem pewny tego, co mówię, że proszę cię, moja matko, abys mnie odwołała z wygnania do tego przeklętego zamku, gdyż mój pobyt tam żadnej nam korzyści nie przyniesie.

Twarz hrabiny rozjaśniła się na wiadomość o upadku młodej dziewicy. Odwiedziny Ordenera Guldenlewa w Munkholm przedstawilo się teraz w jej umyśle w zupełnie innym świetle.

— Opowiesz nam, Fryderyku—rzekła — szczegóły miłostek Etheli Schumacker; nie dziwią mnie one: córka chłopca — chłopca tylko pokochać mogła. Nie przeklinaj jednak tego zamku, dał ci on bowiem wczoraj sposobność widzenia pewnej osoby, która zrobiła pierwsze kroki, aby cię poznać.

— Jak te, moja matko — rzekł porucznik, wytrzeszczając oczy—któż to taki?

— Nie żartuj sobie, mój synu. Czyż nikt ci wczoraj nie oddał wizyty? Widzisz, że wiem o wszystkim.

— Ależ, na honor, nawet lepiej niż ja, moja matko. Niech mnie dyabli wezmą, jeżeli widziałem wczoraj inne twarze, oprócz figur, umieszczonych pod gzymsami tych starych wieżyc.

— Jak to, nie widziałeś nikogo, Fryderyku?

— Doprawdy nikogo, moja matko.

Fryderyk, nie wspominając o swoim przeciwniku, spełniał obowiązek milczenia; a zresztą czyż tego prostaka można było za kogoś uważać?

— Jak to — rzekła matka — czyż syn wice-króla nie był wczoraj wieczorem w Munkholm?

Porucznik parsknął śmiechem.

— Syn wice-króla! Ależ doprawdy, moja matko, marzysz albo szydzisz sobie,

— Ani jedno, ani drugie, mój synu. Kto był wczoraj na służbie?

— Ja sam, moja matko.

— I nie widziałeś barona Ordenera?

— Ależ nie! — powtórzył porucznik.

— Zastanów się jednak, mój synu, że on mógł tam wejść incognito, żeś go nigdy nie widział, chowałeś się bowiem w Kopenhadze, on zaś w Dronheim: pomyśl, co mówią o jego kapryсах i fantazyach. Jesteś więc pewnym, mój synu, żeś nikogo nie widział?

Fryderyk zawahał się przez chwilę.

— Nikogo! — zawołał — zresztą więcej powiedzieć nie mogę.

— W takim razie—mówiła dalej hrabina - baron nie był w Munckholm.

Musdoemon, zdziwiony również jak i Fryderyk, słuchał z uwagą, a teraz przerwał hrabinie.

— Pozwól, szlachetna pani—rzekł.— Panie Fryderyku, a jak imię, jeśli łaska, wazalowi, którego kocha córka Schumackera?

Pytanie to musiał powtórzyć, Fryderyk bowiem, pogrążony od pewnej chwili w zamyśleniu, nie słyszał go wcale.

— Nie wiem... albo raczej..... nie, nie wiem.

— A skąd wiecie, panie, że ona kocha wazala?

— Czyż ja to powiedziałem? Wazala? A tak, to wazal....

Zakłopotanie porucznika wzrastało. Wybadywanie to, powstające w jego własnej głowie przypuszczenia i obowiązek zachowania tajemnicy, wprowadzały go w kłopot, z którego wybrnąć nie umiał...

— Na honor, mości Musdoemonie i pani, szlachetna matko, jeżeli mania wybadywania jest teraz w modzie, to bawcie się wzajemnie w ten sposób. Co do mnie, nie mam już nic do powiedzenia.

I otwierając gwałtownie drzwi, umknął, pozostawiając ich pogrążonych w tysiącnych domysłach. Zszedł on tem spieszniej na dziedziniec, gdyż usłyszał przywołujący go głos Musdoemona.

Wsiadłszy na koń, porucznik Ahlefeld podążył do portu z zamiarem popłynięcia do Munckholmu, miał bowiem nadzieję, że zastanie tam jeszcze niezna-

jomego, który skłonił jeden z najbardziej lekkomyślnych umysłów Kopenhagi do głębszego zastanowienia się nad nim.

— Gdyby to był Ordener Guldenlew—mówił do siebie porucznik—w takim razie moja biedna Ulryka.... Ale nie, to być nie może! Byłby chyba szalonym, gdyby miał przekładać córkę ubogiego więźnia stanu nad bogatą dziedziczkę potężnego ministra. W każdym razie, córka Schumackera mogłaby być tylko przelotną miłośką, nie bowiem nie przeszkadza, mając żonę, mieć jednocześnie i kochankę: jest to nawet w dobrym tonie. Ale nie, to nie Ordener. Syn wice-króla nie ubierałby się w prosty i do tego zużyty kaftan. A to stare czarne pióro, wyblakłe od deszczu i wiatru, a płaszcz z któregoby namiot zrobić można, te włosy w nieładzie, bez grzebyków i fryzury, lub buty z żelaznymi ostrogami, zwalane błotem i kurzem? Baron Thorvick jest kawalerem orderu Danebroga, ten nieznajomy zaś nie nosi żadnej oznaki honorowej! Gdybym ja był kawalerem Danebroga, to zdaje mi się, że sypiałbym w orderowym łańcuchu. On nawet nie czytał „Clelii“! Nie, to nie może być syn wice-króla.

XI

Gdyby człowiek zdołał zachować zapał w swojej duszy, kiedy doświadczenie oświeci jego umysł, gdyby czas korzyść mu przynosił, nie przygniatając jednak swym ciężarem: wtedy nie powstawałyby na wygórowane cnoty, których pierwszym warunkiem jest poświęcenie samego siebie.

Pani Staël, „O Niemczech.“

— A... to ty, Poelu, po cóżeś przyszedł?

— Ekscelencya zapomina, że to wskutek waszego rozkazu, panie.

— Tak? — rzekł generał. — Prawda, przywołałem cię dlatego, abyś mi przyniósł tę tekę.

Poel podał gubernatorowi tekę, którą on mógł sam wziąć łatwo, zaledwie rękę wyciągnawszy.

Jego ekscelencya położył ją machinalnie, nie otworzywszy nawet, później przejrzał z roztargnieniem kilka papierów.

— Chciałem cię zapytać, Poelu... która godzina?

— Szósta — odpowiedział służący, spojrzawszy na zegar, który wisiał na ścianie tuż przed oczami generała.

— To jest, chciałem zapytać cię, Poelu... co tam nowego słychać w pałacu?

Spytawszy w ten sposób—generał przeglądał dalej papiery, na każdym pisząc z zajęciem słów kilka.

— Nie, ekscelencyo, oprócz tego tylko, że czekamy mego szlachetnego pana, o którego, jak widzę, i pan generał jest niespokojny.

Generał powstał od biurka i spojrział na Poela z niezadowoleniem.

— To bardzo źle, widzisz — rzekł. — Ja miałbym być niespokojnym o barona! Znam bardzo dobrze powód jego nieobecności i wcale się go jeszcze nie spodziewam.

Generał Lewin Kund tak wysoko cenił swoją powagę i znaczenie, że uważałby się dotkniętym, gdyby podwładny mógł odgadnąć którą z jego sekretnych myśli, lub sądził, że Ordener postępował wbrew jego woli.

— Możesz odejść, Poelu — dodał po chwili.

Służący wyszedł.

— Co prawda — zawołał, kiedy już sam pozostał — to Ordener używa i nadużywa nawet. Gnąc ostrze szpady, łamie się ją nareszcie. No proszę! żeby mi kazać spędzić noc bezseną i pełną niespokojności! Wystawić mnie, generała Lewina, na szyderstwa całej mojej kancelaryi i domyśły lokaja! I to dlatego tylko, aby dawnego przyjaciela powitać wpierw uściśnieniem, staremu jego przyjacielowi należnem. Ordenerze! Ordenerze! twoje kaprysy przechodzą wszelkie granice swobody. Niechno tylko przyjdzie, a do szatana! przyjmę go tak, jak proch ogień przyjmuje. Wystawiać

gubernatora Dronheimu na domysły lokaja i szyderstwa kancelaryi! Niech tylko przyjdzie...

Jenerał zaczął dalej przewracać papiery, nie czytając ich wcale, tak był gniewem przejęty.

— Jenerale! mój zacny ojczel! — odezwał się znany głos.

Po chwili, Ordener ścisnął w swoich objęciach starca, który nie usiłował nawet powstrzymać okrzyku radości:

— Ordenerze, mój dzielny Ordenerze! Do kroć set, jakże jestem szczęśliwy!...

Zastanowienie wstrzymało wybuch szczerości, więc, tamując go, dodał, wysilając się na ton surowy

— Szczęśliwy jestem, panie baronie, że umiesz pa nować nad swemi uczuciami. Zdajesz się mieć przyjemność w tem, że mnie widzisz; chciałeś więc zapewne zrobić sobie przykrość, wyrzekając się mego widoku od dwudziestu czterech godzin, to jest od twego przybycia do Dronheimu.

— Mówiłeś mi nieraz, mój ojczel, że nieszczęśliwy nieprzyjaciel winien być pierwszym od szczęśliwego przyjaciela. Powracam z Munkholmu.

— Bez wątpienia — odpowiedział jenerał — ale wtedy tylko, kiedy jego nieszczęście jest widoczne i nieuniknione. Przyszłość zaś Schumackera...

— Jest więcej zagrożoną niż kiedykolwiek. Szlachetny jenerale, knują ohydny spisek przeciw temu nieszczęśliwemu. Ludzie urodzeni jego przyjaciółmi, chcą go zgubić. Człowiek, co się nieprzyjacielem jego urodził, stanie w jego obronie...

Twarcz jenerała stopniowo łagodniała i nakoniec przerwał Ordenerowi:

— Dobrze, mój drogi Ordenerze. Ale mów jaśniej: jacy ludzie? co za spisek? Schumacker jest przecie pod moją opieką...

Trudno byłoby Ordenerowi odpowiedzieć jasno na to zapytanie. Miał on bardzo niedokładne i niepewne dane o położeniu człowieka, dla którego narażał swoje życie. Ludzie postępowanie jego nazwaliby szaleństwem; ale dusze, młodością bogate, chętnie czynią to, co uznają za dobre i sprawiedliwe, i czynią to z instynktu, a nie z wyrachowania. Na tym świecie zresztą, gdzie roztropność tak jest oschłą, a mądrość ironiczną, kto jest w stanie zaprzeczyć temu, że szlachetność jest szaleństwem? Na ziemi wszystko jest względnem, bo wszystko ma swoje granice, a cnotę możnaby uważać za prawdziwe szaleństwo, gdyby po za ludźmi nie było Boga. Ordener był w wieku, kiedy się wierzy jeszcze i kiedy drudzy chętnie nam wierzą. Narażał dni swoje, ufając; jenerał poprzestał na tych samych przyczynach, które jednak nie zdołałyby wytrzymać zimnego rozważenia.

— Jakie spiski, jacy ludzie, pytasz mój dobry ojczel. Za kilka dni zbadam to dokładnie; wówczas wszystkiego dowiesz się ode mnie. Dziś wieczorem muszę odjechać.

— Jak to! — zawołał starzec — pozostaniesz ze mną tylko kilka godzin? Dokądże i po co chceszjechać, mój drogi synu?

— Pozwoliłeś mi przecie, szlachetny ojczel, dobre uczynki spełniać w tajemnicy.

— Tak, ale jedziesz, a w jakim celu, sam nawet nie wiesz dokładnie; tutaj zaś ważna sprawa wymaga twojej obecności.

— Ojciec dał mi miesiąc czasu do namysłu, chcę go poświęcić dla cudzego interesu. Dobry uczynek przeniesie mi dobrą radę. Zresztą za powrotem zobaczymy.

— Jak to? — rzekł generał nalegająco—małżeństwo to nie podoba ci się? Mówią, że Ulryka Ahlefeld jest tak piękną! Czy ją kiedy widziałeś?

— Sądzę, że tak — odparł Ordener — zdaje mi się, że jest piękną w istocie.

— A więc? — spytał gubernator.

— A więc — rzekł Ordener — nie będzie moja żoną.

To słowo zimne i stanowcze uderzyło generała jakby cios gwałtowny. Podejrzenia dumnej hrabiny stanęły mu na myśli.

— Ordenerze — powiedział kiwając głową—muszę się poprawić, bo zawiniłem. Jestem stary i nie-doświadczony. Ordenerze... więzien ma córkę...

— Chciałem ci właśnie o niej mówić generale! — zawołał młody człowiek. — Błagam cię, mój ojczu, o opiekę nad tą słabą i uciśnioną dziewczyną.

— Jak widzę, to twoje błaganie trochę jest za żywe.

Ordener przyszedł nieco do siebie.

— A jakież mogłoby być, kiedy idzie o nieszczęśliwą uwięzioną, której chcą wydrzeć życie, więcej nawet, bo honor?..

— Życie! honor! Ależ przecie ja tutaj rządzę i nie o tem nie wiem.

— Życiu bezbronnego więźnia i jego córki grozi piekielny spisek...

— To, co mówisz jest bardzo ważne. Jakież masz na to dowody?

— Starszy syn możnej rodziny przebywa obecnie w Munckholm; przybył tam dla uwiedzenia hrabianki Etheli... sam mi to powiedział.

Generał cofnął się o trzy kroki.

— Boże! mój Boże! biedna sierota! Ordenerze! Ethel i Schumacker są pod moją opieką. Powiedz, co to za nędznik?! Co to za rodzina?

Ordener zbliżył się do generała i uściśnął jego rękę.

— Rodzina Ahlefeld — rzekł.

— Ahlefeld! — powtórzył stary gubernator. — Tak, to bardzo jasne, porucznik Fryderyk jest jeszcze w Munckholm. Chcą cię połączyć z tym rodem; pojmuje twój wstręt, Ordenerze!

Starzec, założywszy ręce, zamyslił się przez chwilę, później ujął Ordenera w swoje objęcia.

— Możesz jechać, młodzieńcze; podczas — twej nieobecności protegowani twoi nie pozostaną bez opieki; ja w tem ciebie zastąpię. Jedź więc. Zresztą dobrze robisz pod każdym względem. Ta piekielna hrabina Ahlefeld jest tutaj, wiesz może o tem...

— Szlachetna hrabina Ahlefeld! — zameldował służący, drzwi otwierając.

Na to imię, Ordener cofnął się machinalnie w głąb komnaty, hrabina zaś, wchodząc i nie zauważywszy go — zawołała:

— Wychowaniec pański żartuje sobie z was, jenerale; wcale nie był w Munckholmie.

— Doprawdy? — rzekł generał.

— Syn mój Fryderyk, który dopiero co wyszedł z pałacu, był wczoraj w zamku na służbie i nie widział nikogo. Tak więc — mówiła dalej hrabina z tryumfem — nie spodziewaj się już jenerale twojego barona.

Jenerał ciągle był poważny i zimny.

— Sądziłam, jenerale — rzekła hrabina odwracając się — że jesteście sami... Kto to...?

Hrabina skierowała na Ordenera badawcze spojrzenie, on zaś skłonił się głęboko.

— Wprawdzie — mówiła dalej — widziałam go raz tylko... ale ten ubiór... miałaby to być... Panie jenerale, czy to syn wice-króla?

— On sam, szlachetna pani — rzekł Ordener, kłaniając się powtórnie.

Hrabina uśmiechnęła się.

— W takim razie pozwól pan, aby kobieta, która wkrótce ma być czemś więcej dla niego, spytała — gdzie byliście wczoraj, panie hrabio?

— Hrabio? Nie mam prawa do tego tytułu, sądzą bowiem, że nie spotkało mnie jeszcze to nieszczęście, abym miał utracić mego szlachetnego ojca, pani hrabino.

— Nie taką też jest myśl moja. Lepiej przecież zostać hrabią, biorąc sobie małżonkę, aniżeli tracąc ojca.

— Jedno niewiele więcej warte od drugiego, szlachetna pani.

Hrabina, zmieszana nieco, uważała za właściwe wybuchnąć śmiechem.

— Jak widzę, prawdę mi mówiono, że jego cześć jest trochę dziki. Oswoi się jednak z obecnością dam, kiedy Ulryka Ahlefeld włoży na jego szyję łańcuch orderu Słonia.

— Prawdziwy łańcuch! — rzekł Ordener.

— Zobaczysz, jenerale Lewin — mówiła dalej hrabina, której śmiech stawał się nieco przymuszonym — że pański niedostępny wychowaniec nie zechce także przyjąć z rąk kobiety stopnia pułkownika.

— Masz pani słuszność, hrabino — odparł Ordener — człowiek, który miecz nosi, nie powinien swoich szlif zawdzięczać spódnicy.

Twarz wielkiej damy zachmurzyła się groźnie.

— Ho! ho! skądże to pan baron przybywa? Czy wistocie jego cześć nie był wczoraj w munekholmskim zamku?

— Niezawsze odpowiadam na czynione mi pytania, szlachetna pani. Jenerale, wkrótce się zobaczymy.

To rzekłszy, Ordener uściskał rękę starca i skłoniwszy się hrabinie wyszedł, pozostawiając ją zdumioną wszystkim, co jej dotąd było obcem, oraz gubernatora zgorszonego tem, o czem już wiedział dokładnie.

XII

...Człowiek, który w tej chwili siedzi obok niego, łamie z nim chleb swój i pije za jego zdrowie ze wspólnej czary, pierwszy gotów go zamordować.

Shakspeare „Tymon Ateńczyk.“

A teraz niechaj czytelnik przeniesie się myślą na drogę z Drontheim do Skongen, drogę wąską i kamienistą, która prowadzi po nad rzeką aż do wsi Vygła. Idąc za naszą radą, napotka niezadługo dwóch podróżnych, którzy po zachodzie słońca wyszli przez bramę zwaną Skongeńską i wdzierają się dosyć spiesznie na piętrzące się wzgórza, po których idzie wężem droga do Vygła.

Obadwaj odziani są w płaszcze. Jeden z nich idzie krokiem żwawym i pewnym, trzymając się prosto, z głową do góry; koniec szabli wygląda z pod jego płaszcza, a mimo ciemności, można widzieć pióro, kołyszące się od powiewu wiatru po nad jego tokiem. Drugi podróżny wyższy jest nieco od swego towarzysza, ale pochylony; na jego plecach widać jakby garb, który tworzy pakunek, owinięty płaszczem z poszarpanymi brzegami, wymownie świadczącymi o długich

jego usługach. Za całą broń ma tylko kij, którym pomaga sobie idąc krokiem nierównym i przyspieszonym.

Jeżeli noc nie pozwala czytelnikowi rozpoznać rysów obu podróżnych, niechaj przeto, aby się z nimi poznać, posłucha rozmowy, jaką jeden z nich rozpoczyna po godzinie drogi milczącej i nudnej.

— Panie! mój młody panie! jesteśmy na miejscu skąd odrazu widać i wieże Vygła, i dzwonnice Drontheimu. Przed nami, ta czarna masa na horyzoncie, to wieża; po za nami, oto katedra, której kopuły odbijają na ciemnym niebie.

— Czy Vygła daleko jest od Skongenu? — zapytał drugi podróżny.

— Musimy jeszcze przejść przez Ordals, panie i nie będziemy w Skongen przed trzecią z rana.

— A która teraz bije?

— Sprawiedliwy Boże! słowa wasze, panie, strachem mnie napełniają. Tak, to dzwon drontheimski, którego dźwięki wiatr aż do nas przynosi. Jest to przepowiednia burzy. Wiatr północno-zachodni spowodza chmury.

— Gwiazdy wistocie po za nami już znikły zupełnie.

— Przyspieszmy kroku, szlachetny panie. Burza nadchodzi, a może spostrzeżono już w mieście pokalenie trupa Gilla i moją ucieczkę. Przyspieszmy kroku.

— Bardzo chętnie. Ale wasz pakunek zdaje się być ciężki; oddajcie mi go, jestem młody i od was silniejszy.

— O nie, szlachetny panie. Orzeł nie powinien nieść skorupy żółwia. Nie godny jestem tego, abyś pan miał dźwigać moje rzeczy.

-- Ależ to was znużyć może. Pakunek zdaje się być ciężki. Cóż się w nim mieści? Przed chwilą potknęliście się i odezwało się coś, jakby żelazo.

Starzec odsunął się spieszenie od młodego człowieka.

— Jak żelazo? O nie, panie, omyliliście się. W pakunku tym nie niema oprócz wiktuałów i ubrania. Nie panie, to mnie wcale nie nuży.

Życzliwa propozycja młodzieńca zdawała się sprawić jego staremu towarzyszowi przestach, który on pokryć usiłować.

— Skoro więc ciężar ten nie nuży was, to go trzymajcie.

Starzec, uspokojony, zmienił jednak spieszenie przedmiot rozmowy.

— Smutnie to jest iść nocą jakby zbiegowie po drodze, którą byłoby tak przyjemnie przebiegać w dzień dla samego zwiedzenia. Na brzegach zatoki, z prawej strony, znajdują mnóstwo kamieni runicznych, na których widzieć można napisy, skreślone, według podania, przez bogów i olbrzymów. Z prawej strony, po za skałami otaczającymi drogę, rozciągają się słone błota Sciald, które bezwątpienia łączą się z morzem jakim kanałem podziemnym, ponieważ łowią w nich szczególnie morską rybę, która, podług odkrycia pańskiego przewodnika i sługi, żywi się piaskiem. W wieży Wygła, do której się właśnie przybliżamy, pogański król Wermond kazał Ś-tej Ethelderze, sławnej męczennicy, spalić piersi ogniem z drzewa prawdziwego

krzyża, przywiezionego do Kopenhagi przez Olau-sa, od którego zdobył je król Norwegii. Powiadają, że później chciano nieraz już zrobić kaplicę z tej Wieży Przeklętej, ale umieszczone na niej krzyże niszczone zawsze bywały przez ogień niebieski..

W tej chwili ogromna błyskawica oświeciła zatokę, wzgórze, skały, wieżę i znikła, zanim oko podróżnych mogło rozróżnić który z tych przedmiotów. Wstrzymali się, a po błyskawicy nastąpił niezwłocznie gwałtowny grzmot, którego echo odbijało się o chmury na niebie i o skały na ziemi.

Podnieśli oczy: wszystkie gwiazdy znikły; ciężkie chmury przesunęły się szybko jedna nad drugą, a burza, jak lawina śniegu, wzrastała po nad ich głowami. Wiatr, pędzący te czarne masy, przechodził po nad drzewami, nieporuszanymi dotąd jego powiewem i na które nie spadła jeszcze ani kropla deszczu. Pośród nocnej ciszy, przeraźliwszej jeszcze przy ciemności burzy, rozlegał się w górze odgłos huraganu, z którym się łączył łoskot morza, rozbijającego się o wybrzeża zatoki.

Hałaśliwe to milczenie przerwał nagle, tuż obok podróżnych, głos do ryku podobny, na który starzec zadrzał.

— Wszechmocny Boże! — zawołał, chwytając za ramię młodego człowieka—to śmiech szatana, albo głos...

Nowa błyskawica i mocny grzmot zamknęły mu usta. Burza, jak gdyby na dany sygnał, wybuchła z całą gwałtownością. Podróżni rozwiązali swoje płaszcze, aby się zastonić tak od deszczu, lejącego

z chmur potokami, jak i od gęstego kurzu, który wiatr tumanami unosił z suchej jeszcze ziemi.

— Starcze — rzekł młody człowiek — przy świetle błyskawicy ujrzałem z prawej strony wieżę Vygła; zejdźmy więc z drogi i szukajmy w niej schronienia.

— Schronienia w Przeklętej Wieży?! — zawołał starzec. — Niech nas Bóg zachowa! Zastanówcie się, panie, że ta wieża jest niezamieszkaną.

— Tem lepiej; nie będziemy czekali, aż nam drzwi otworzą.

— Pomyśl pan, jaka ją zbrodnia skalala!

— A więc niech się oczyści, dając nam przytułek. No dalej, chodźmy. Podczas takiej burzy prosiłbym o gościnność nawet w jaskini opryszków.

I mimo uwag starca, ująwszy go za ramię, młody człowiek skierował się ku budynkowi, który przy świetle błyskawicy spostrzegł w niewielkiej odległości. Zbliżywszy się, ujrzeli światelko w jednej ze strzelnic wieżycy.

— Czy nie widzisz — rzekł młody człowiek — że wieża ta jest właśnie zamieszkaną. Powinno cię to przecie uspokoić.

— Boże! mój Boże! — zawołał starzec — dokądże mnie prowadzicie, panie? Niech mnie Opatrzność obroni, abym nie wszedł do tego siedliska szatana.

Byli już u podnóża wieży. Młody podróżny zapukał silnie do zupełnie nowych drzwi tych strasznych zwalisk.

— Uspokój się starcze, to pewnie jaki pobożny pustelnik zamieszkuje tę wieżę, aby swą obecnością poświęcić ją niejako.

— O nie! — rzekł jego towarzysz — ja tam za nic nie wejdę. Żaden pustelnik nie może tu mieszkać, chyba, że zamiast różańca, ma jeden z siedmiu łańcuchów Belzebuba.

Tymczasem światelko, przechodząc przez strzelnicę, zniżało się stopniowo, aż nareszcie zabłysło przez dziurkę od zamku.

— Strasznie późno powracasz, Nychol — odezwał się głos piskliwy — szubienicę wzniesiono już na południe, a dla powrotu ze Skongen do Vygła, sześciu tylko godzin potrzeba. Czy więcej było do roboty?

Zapytanie to uczynione było w chwili, kiedy się drzwi uchylały. Kobieta, otwierając je, zobaczywszy, w miejsce spodziewanej, dwie obce twarze, wydała okrzyk przestachu i cofnęła się o kilka kroków.

Widok tej kobiety również nie wzbudzał zaufania. Była ona więcej niż dobrego wzrostu, a ręka jej trzymała po nad głową żelazną lampkę, która twarz jej dokładnie oświecała. Jej oblicze śniade, wychudłe i kościste, miało w sobie coś trupiego, z zapadniętych oczu wysuwały się złowieszcze błyski, podobne do światła żałobnej pochodni. Ubrana była w czerwona spódnicę, z pod której wyglądały gołe nogi. Spódnica zdawała mieć na sobie plamy również czerwone, ale ciemniejsze. Wychudłą pierś tej kobiety okrywał nawpół kaftanik tego samego co i spódnica koloru, z obciętymi po łokieć rękawami. Wiatr, wdzierający się przez drzwi otwarte, unosił po nad jej głową długie, siwe włosy, co twarz jej, i tak już dzika, bardziej jeszcze przerażającą czyniło.

— Dobra pani — rzekł młodszy z nowoprzybyłych — deszcz leje potokami, wy macie dach, a my mamy złoto.

Stary towarzysz pociągnął go za płaszcz i rzekł z cicha:

— O panie! co wy mówicie? Jeżeli to nie jest dom dyabła, to zamieszkuje w nim z pewnością jaki bandyta. Nasze złoto, zamiast nam pomódz, zgubi nas tylko.

— Cicho! — rzekł młody człowiek, a wydobwwszy sakiewkę, błysnął nią przed oczami starej kobiety, powtarzając swą prośbę.

Ta ostatnia, przyszedłszy nieco do siebie, utkwiała w nich dzikie spojrzenie.

— Nieznajomi! — zawołała nareszcie, jak gdyby nie słysząc ich głosu — czyż was opuścili wasi aniołowie stróże? Czego żądacie od mieszkańców Przeklętej Wieży? Nieznajomi! nie ludzie to wskazali wam, że w tych zwaliskach szukać możecie schronienia. O nie, wszyscy powiedzieliby wam, że lepsza jest błyskawica burzy, aniżeli ognisko w wieży Vygła. Jeden tylko człowiek wchodzi tutaj, ale nie wchodzi do żadnego mieszkania innych, samotność swą porzuca tylko dla tłumu, a żyje przez śmierć. Jedyne jego miejsce w przekleństwach ludzi, służy tylko ich zemście, a żyje przez ich zbrodnie. Najpodlejszy zabójca w chwili kary z siebie na niego zrzuca pogardę ogólną, a sądzi jeszcze, że ma prawo i swoją dodać. Nieznajomi i obcy w tych miejscach! noga bowiem wasza nie odepchnęła jeszcze ze wstrętem progu tej wieżycy—zostawcie w spokoju wilezycę i wileżęta,

powróćcie na drogę, którą dążą inni ludzie, a jeśli chcecie, aby od was nie uciekali bracia wasi, nie mówcie im, że na wasze twarze padło światło lampy mieszkańców wieży Vygła.

Po tych słowach, gestem drzwi wskazując, zbliżyła się do podróżnych. Starzec drżał na całym ciele i spoglądał błagająco na swego towarzysza, który nie zrozumiałszy słów kobiety z powodu jej nadzwyczaj szybkiej mowy, wziął ją za waryatkę i wcale nie miał chęci powrócić na deszcz, padający ciągle z łoskotem.

— Na honor, moja dobra gospodyni, odmalowaliście mi szczególnego człowieka; nie chcę więc tracić sposobności, aby się z nim zapoznać.

— Bo nie wiesz, młodzieńcze, że znajomość z nim prędko się zawiera, a jeszcze prędeż kończy. Jeśli cię szatan do tego popycha, to zamorduj żywego, albo sprofanuj trupa.

— Sprofanować trupa! — powtórzył starzec drżącym głosem, chowając się za swego towarzysza.

— Niebardzo was pojmuję—rzekł tenże—wasze dowodzenie co najmniej nie jest jasne; daleko będzie krócej pozostać. Trzeba być szalonym, aby w taki czas w dalszą puszczać się drogę.

— A jeszcze bardziej szalonym, aby szukać schronienia w takim miejscu — szepnął starzec.

— Nieszczęśliwi! — zawołała kobieta—nie pukajcie do drzwi tego, który otwierać umie tylko drzwi grobu.

— Choćby i drzwi grobu, wraz z waszemi, otworzyły się dla mnie, nie powiedzą, żem się cofnął przed

złowróbnem słowem. Moja szabla ręczy mi za wszystko. Dalej, zamykajcie więzę, bo strasznie zimny wiatr wieje — i bierzcie to złoto.

— Na co mi się przyda wasze złoto — rzekła kobieta — szacowne w waszem ręku, w mojem stanie się podlejszem od cyny. Zresztą, za złoto możecie zostać. Może ono ochronić od burzy przez niebo zstanej, ale nie zasłoni od pogardy i nienawiści ludzkiej. Pozostańcie; płaciecie za gościnność hojniej, niż inni płacą za morderstwo. Poczekajcie tu chwilę i dajcie mi wasze złoto. Pierwszy to raz do tego domu ręce ludzkie wnoszą złoto, nie będące krwią skalane.

Postawiwszy lampę i zaryglowawszy drzwi, zniknęła pod sklepieniem ciemnych schodów, prowadzących z głębi sali.

Gdy zostali sami, starzec drżał jak listek i wzywając pomocy Opatrzności, przeklinał z całego serca, ale jednak po cichu, nieroztropność swego młodego towarzysza. Ten ostatni zaś, wziąwszy światło do ręki, oglądał salę, w której się znajdowali. Na widok tego, co zobaczył zbliżając się do ściany, zadrżał, a starzec, który prowadził za nim wzrokiem, zawołał:

— Wielki Boże! panie, to szubienica!

I w samej rzeczy, ogromna szubienica oparta była o mur, wierzchołkiem swoim dotykając wysokiego i wilgotnego sklepienia.

— Tak jest—rzekł młody człowiek — a oto piły drewniane, żelazne, łańcuchy i pręgierz; dalej koń drewniany i kleszcze nad nim zawieszane.

— Wszyscy święci z raj! — zawołał — starzec gdzież my jesteśmy?

Młody człowiek z zimną krwią odbywał dalszy przegląd.

— Oto zwój sznurów konopnych, tygłe i kociołki; na tej znów części muru wiszą szczypca i skalpele; za nimi rzemieńne baty ze stalowymi końcami, siekiera, maczuga....

— Ależ to magazyn piekła! — zawołał starzec, struchlały od wyliczania tych strasznych przedmiotów.

— Tu znów—mówił dalej młody człowiek—koła z bronzowymi zębami, skrzynia ponabijana gwoździami, winda..... Co prawda, to strasznie złowieszcze umeblowanie. Żałuję bardzo, starcze, że moja nieroztropność tutaj cię sprowadziła.

— Dopiero pan o tem pomyślałeś?!

Mówiąc to, starzec był napół martwy.

— Nie lękaj się jednak, mniejsza o miejsce, w którym się znajdujesz, skoro jestem z tobą.

— Piękna mi obrona — wyszemrał starzec, w którym wielki strach osłabił bojaźń i poszanowanie dla młodego człowieka.—Piękna mi obrona! szabla na trzydzieści cali długa przeciw szubienicy na trzydzieści stóp wysokiej!

Kobieta czerwono ubrana zjawiała się znowu i wziąwszy lampę, dała znak podróżnym, aby za nią poszli. Wdrapywali się więc z ostrożnością po wązkich schodach, w murze wieżycy wybitych. Przy każdym otworze strzelnicy, prąd wiatru i deszczu o mało nie zgasił drżącego płomienia lampy, którą kobieta zasłaniała swemi długiemi i przezroczystemi palcami. Po-

tknąwszy się niejednokrotnie o poruszające się pod ich nogami kamienie, które zaniepokojona wyobraźnia starca brała za kości ludzkie, rozrzucone na schodach, przybyli nareszcie na pierwsze piętro budowli, do sali okrągłej i podobnej zupełnie do tej, w jakiej byli na dole. Na środku, według gotyckiego zwyczaju, stał ogromny komin, z którego dym wydostawał się przez otwór w suficie wybity, zaciemniając całą salę. Tam to palący się na kominie ogień, ze światłem lampy złączony, widzieli nasi podróżni. Przed ogniem obracał się rożen z surowem jeszcze mięsem. Starzec odwrócił się ze wstrętem.

— Właśnie na tym przeklętym kominie — rzekł do swego towarzysza — ogień z drzewa prawdziwego krzyża zniszczył członki świętej...

— Nieznajomi — rzekła kobieta, stawiając przed nimi lampę — wieczerza wkrótce będzie gotowa, a mąż mój zapewne niedługo powróci. Będzie się spieszył, aby Duch Nocy nie schwycił go przy przejściu około Przekłętej Wieży.

Obecnie Ordener (czytelnik bowiem poznał go już zapewne, równie jak i jego przewodnika, Benignusa Spiagudrego) mógł zbadać dokładnie dziwne przebranie, jakie ten ostatni przywdział na siebie. Pomysłem starego dozorey dopomógł strach, aby go nie poznano i nie ujęto. Biedny Spiagudry ubranie ze skóry renifera zamienił na strój zupełnie czarny, pozostały w Spladgeście po sławnym gramatyku z Drontheimu, który utopił się z rozpaczy, że nie mógł odgadnąć przyczyny: dlaczego imię własne *Jupiter*, w drugim przy-padku zmienia się na *Jovis*. Jego drewniane saboty

zastąpiły wysokie buty po pocztylionie, stratowanym przez konie. Buty te tak były dlań obszerne, że nie mógłby w nich chodzić, bez obwiniecia swoich cienkich nóg w pół snopka słomy. Wielka peruka młodego francuskiego podróżnika, zamordowanego u bram Drontheimu, pokrywała jego łysinę i spadała na ostrokończaste i nierówne ramiona. Jedno oko miał zaklejone plastrem, a dzięki słoikowi różu, który znalazł w kieszeni jakiejś starej panny, zmarłej z miłości, policzki jego, zwykle blade i wychudłe, pokryte były rumieńcem, który deszcz, aż na jego podbródek sprowadził. Zanim usiadł, pakunek niesiony na plecach położył, obwinawszy go starannie w swój stary płaszcz i kiedy towarzysz podróży zwracał na niego całą swą uwagę, on rzucał od czasu do czasu na pieczeń, którą gospodyni obracała, spojrzenia pełne niespokojności i wstrętu. Przez jego usta wymykały się urywane słowa:

— Mięso ludzkie... *horendas epulas!*..... Ludożercy!..... — Wieczerza Molocha...! *Nec pueros coram populo Medea trucidet.*..... Gdzież my jesteście?...

Nakoniec zawołał:

— Sprawiedliwe nieba! Panie, spojrzycie tam, w głąb sali, na tę kupę słomy w cieniu.....

— No i cóż tam jest? — zapytał Ordener.

— Trzy ciała nagie i nieruchome... trzy trupy dzieci!.....

— Ktoś stuka do drzwi — rzekła kobieta.

I wistocie, pośród szumu wzrastającej ciągle burzy, dało się słyszeć stukanie silne i gwałtowne.

— Teraz to już on! to Nychol! — zawołała kobieta i wzięwszy lampę, spiesznie wyszła.

Podróźni nie zdołali jeszcze przemówić do siebie, kiedy nagle w dolnej sali usłyszeli hałas, pośród którego rozległo się wyraźnie kilka słów wypowiedzianych głosem, na który Spiagudry zastrząsł się i zadrzał.

Słowa te były:

— Milez kobieto! zostaniemy. Grom wejść umie, choć mu drzwi nie otworzą.

Spiagudry przysunął się do Ordenera.

— Panie! panie! — rzekł słabym głosem — biada nam!...

Za chwilę, odgłos kroków rozległ się na schodach, poczem dwóch ludzi, w duchownym stroju, weszło do sali, a za nimi gospodyni zmieszana i gniewna.

Jeden z tych ludzi był dosyć dobrego wzrostu; miał on na sobie czarne ubranie i włosy okrągło ostrzyżone na sposób protestanckich pastorów; drugi zaś, zupełnie niski, odziany był w habit mniszy przewiązany postronkiem. Zapuszczony kaptur pozwalał tylko widzieć czarną brodę, ręce zaś chował w długie rękawy sukni.

Na widok dwóch księży, Spiagudry ochłonął z przestachu, którego nabawił go dziwny głos jednego z nich.

— Bądźcie zupełnie spokojni, moja pani — rzekł pastor do gospodyni — chrześcijańscy kapłani bywają użyteczni nawet tym, którzy im złe wyrządzają; mogliżby więc szkodzić tym, którzy im usługę oddają? Najpokorniej prosimy was o przytułek. Jeżeli szanowny brat, który mi towarzyszy, przed chwilą szorstko do was przemówił, to zawinił tem, że zapomniał o miarkowaniu głosu, nakazanem przez śluby nasze. Niestety! nawet najbardziej świętobliwi ludzie mogą

zgrzeszyć. Szanowny brat, którego spotkałem, mając do domu równie jak i ja daleko, pozwolił, abym z nim razem szedł do was. Chwalił mi bardzo waszą gościnność, dobra kobieto i nie omylił się bezwątpienia. Nie mówciez więc jak pasterz: *advena cur intras?* Przyjmijcie nas, dobra gospodyni, a Bóg wasze zbiory ochroni od wichrów, w czasie burzy waszej trzodzie da przytułek tak, jak wyście go dali zbłąkanym podróżnym.

— Starcze—odpowiedziała kobieta dziko—ja nie mam ani zbiorów, ani trzód.

— Jeśli więc jesteście ubogą, to Bóg błogosławi ubogiemu przed bogaczem. Doczekacie starości ze swoim mężem, poważani nie dla majątku, ale dla cnót waszych; dzieci wasze rość będą, otoczone szacunkiem ludzkim i będą tem, czem był ich ojciec...

— Milezcie! — zawołała gospodyni. — Zostając tem, czem jesteśmy, dzieci nasze dojdą do starości otoczone pogardą, która w naszym rodzie z pokolenia na pokolenie przechodzi. Milezcie, starcze! Błogosławieństwo dla nas w przekleństwo się zamienia.

— O nieba! — zawołał pastor — któż wy jesteście? Pośród jakich zbrodni przechodzi życie wasze?

— A co to są zbrodnie? co to jest enota? My nie możemy mieć cnót, ani popełniać zbrodni.

— To obłąkana — rzekł pastor, zwracając się do zakonnika, który swój habit suszył przy ognisku.

— O nie, księżo — odpowiedziała kobieta — do-wiedzcie się, gdzie jesteście. — Wolę rozbudzać wstręt niż litość. Nie jestem waryatką, ale żoną...

Przeciągły odgłos gwałtownego dobijania się do drzwi wieży nie pozwolił usłyszeć reszty, ku wielkiemu niezadowoleniu Spiagudrego i Ordenera, którzy milcząc słuchali uważnie całej rozmowy.

— Niechaj będzie przeklęty — rzekła kobieta do siebie — ten syndyk sprawiedliwości w Skongen, że nam wskazał na mieszkanie tę wieżę, tak blizką drogi. To może jeszcze nie Nychol.

Wzięła jednak lampę, mrużąc:

— A choćby to był i podróżny, to mniejsza o to! Strumień może płynąć tam, gdzie już potok przeszedł.

Podróżni, pozostawszy sami, przyglądali się sobie wzajemnie przy słabem świetle ogniska. Spiagudry, przestraszony z początku głosem zakonnika, później uspokojony widokiem jego czarnej brody, zadrżałby był znowu, gdyby zauważył, jak badawczem spojrzeniem przyglądał mu się tenże z pod swojego kaptura.

Pośród ogólnego milczenia, pastor zapytał:

— Bracie pustelniku, sądzę bowiem, że jesteście jednym z tych kapłanów katolickich, którzy zdołali uniknąć ostatnich prześladowań i że wracaliście do swego domu, kiedy was, na moje szczęście, spotkałem. Czy możecie mi powiedzieć, gdzie się teraz znajdujemy?

Zniszczone drzwi, prowadzące na również zruinowane schody, otwały się, zanim brat pustelnik zdołał odpowiedzieć.

— Kobieto, cóż to za tłum napędziła zbliżająca się burza pod nasz dach złowieszczy i do naszego przekłętą stołu?

— Nychol — odpowiedziała kobieta — nie mogłam wzbronić...

— A cóż mi przeszkadzają wszyscy ci goście, jeżeli tylko zapłaca? Złoto tak dobrze zarobić można dając gościnność podróżnemu, jak i odbierając życie rozbójnikowi.

Mówiący w ten sposób, stanął we drzwiach, gdzie podróżni mogli mu się dobrze przypatrzeć. Był to człowiek kolosalnego wzrostu i jak gospodyni, cały czerwono ubrany. Jego ogromna głowa zdawała się od razu z ramion wyrastać, co stanowiło zupełne przeciwieństwo z długą i kościstą szyją jego nadobnej małżonki. Czoło miał niskie, nos spłaszczony, gęste brwi; oczy jego, otoczone czerwoną obwódka, błyszczały jak ogień pośród krwi. Dolną część twarzy przecinały usta szerokie i mięsiste. Ohydny uśmiech tych ust otwierał wargi czarne, jak brzeg niezagojonej rany. Kędzierzawa broda, spadająca z policzków na szyję, nadawała całej tej twarzy, wprost patrząc, formę kwadratu. Człowiek ten miał na głowie szary kapełusz, z którego teraz deszcz spływał, a którego, na widok czterech podróżnych, nie raczył nawet uchylić.

Ujrawszy tego człowieka, Benignus Spiagudry wydał okrzyk przestachu, pastor zaś odwrócił się tknięty zadziwieniem i wstrętem. Nowoprzybyły jednak do niego zwrócił swe słowa:

— Jak to, to wy, panie pastarze? Co prawda, niespodziewałem się, że będę miał przyjemność widzieć dziś powtórnie waszą twarz płaczącą z przestraszoną miną.

Pastor powściągnął pierwsze uczucie wstrętu. Rysy jego twarzy przybrały wyraz powagi i spokoju.

— Ja zaś, mój synu—rzekł—cieszę się, że traf sprowadził pasterza do owieczki zbląkanej, aby ją nawrócił na drogę prawości i cnoty.

— Na szubienicę Amana! pierwszy to raz dopiero do owieczki porównany zostałem. Wierciecie mi, ojcze, że jeśli chcecie pochlebić jastrzębiowi, to nie nazywajcie go gołębiem.

— Ten, przez którego jastrzab gołębiem się staje, pociesza, mój synu, ale nie pochlebia. Sądźcie, że ja was się lękam, a ja was żałuję tylko.

— Musicie więc, panie, mieć wielki zapas litości; sądziłbym bowiem, żeście go już powinni byli wyczerpać dla tego nieboraka, któremu dziś pokazywaliście wasz krzyż, aby nim zasłonić moją szubienicę.

— Biedak ten — odpowiedział pastor — mniej od was był godnym litości; on bowiem płakał, a wy się śmiejecie. Szczęśliwy, kto w chwili odpokutowania win poznaje, że ręka człowieka jest bezsilną wobec Boskiego słowa.

— Dobrze powiedziano, ojcze — rzekł pan domu z okropną, szyderczą wesołością. — Szczęśliwy, kto płacze! Dzisiejszy nasz pacjent zresztą nie popełnił innej zbrodni nad tę, że serdecznie ukochawszy króla, nie mógł się powstrzymać od odtwarzania jego portretu na małych medalach z miedzi, które następnie złośli artyści, aby godniejszemi były królewskiego oblicza. Nasz łaskawy monarcha, w nagrodę tak wielkiego przywiązania, ofiarował mu piękną wstęgę konopną, która, mam honor oświadczyć o tem moim szanownym gościom, nadaną mu została dziś na rynku w Skongen przeze mnie, wielkiego kanclerza Zakonu Szubienicy, w przytomności

obecnego tutaj pana pastora, wielkiego jałmużnika tegoż samego zakonu.

— Wstrzymaj się, nieszczęśliwy! — przerwał pastor. — Czyż ten, co wymierza karę, może o niej zapomnieć? Czy słyszysz grzmot?...

— No i cóż to jest grzmot? Wybuch śmiechu szatana i nic więcej.

— Wielki Boże! dopiero co był przy śmierci człowieka, a teraz bluźni...!

— Dosyć tych kazań, stary moralisto! — zawołał pan domu grzmiącym i gniewnym głosem — bo inaczej mógłbyś przeklinać anioła ciemności, co nas w jednym dniu zbliżył dwa razy do siebie, na tym samym wozie i pod tym samym dachem! Naśladuj lepiej swego kolegę pustelnika, który miałby pewnie wielką chęć powrócić do swej groty w Lynrass. Dziękuję wam, bracie pustelniku, za błogosławieństwa, jakie co rano, przechodząc około wzgórza, dajecie Przekłętej Wieży; ale prawdziwie, sądziłem dotąd, że jesteście dobrego wzrostu, a wasza broda, dzisiaj tak czarna, zdawała mi się białą. Pomimo to, wszak jesteście pustelnikiem z Lynrass, jedynym pustelnikiem w Drontheimhuus...?

— Tak jest — odpowiedział zapytany przytłumionym głosem.

— My więc obaj — mówił dalej pan domu — jesteśmy dwoma samotnikami prowincyi. — Hola! Bechljo, pospiesz no się z tą ćwiartką baraniny, bo głodny jestem. Zatrzymał mnie we wsi Burock ten przekłety doktor Manryll, który za trupa chciał mi dać tylko dwanaście askalinów; temu piekielnemu dozorey Spladgestu w Drontheim to dają aż czterdzieści

Hej! mości panie w peruce, co to panu? Strzeż się, bo upadniesz. Ale, ale, czyś skończyła, Bechljo skielet truciciela Orgiwiusa, tego sławnego czarnoksiężnika? Czasby już był wyprawić go do gabinetu ciekawości w Berghen. A czy posłałaś którego z twoich warchlaków do syndyka w Loewig po moją należność, to jest cztery podwójne talary za wrzucenie do kotła czarownicy i dwóch alchemików, dwadzieścia askalinów za zdjęcie z szubienicy Jomaela Typhaina, Żyda, na którego się żalił szanowny biskup i talara za przygotowanie nowego ramienia do kamiennej szubienicy miejskiej?

— Pieniądze te — odpowiedziała kwaśno żona — pozostały w ręku syndyka, syn twój bowiem zapomniał wziąć drewnianej łyżki, aby je na nią odebrać, żaden zaś ze sług sędziego nie chciał oddać mu ich do ręki.

Mąż zmarszczył brwi.

— Niech tylko ich karki wpadną w moje ręce, a zobaczą, czy będę potrzebował drewnianej łyżki, aby się ich dotknąć. Potrzeba jednak być ostrożnym z tym syndykiem. Do niego to odesłaną została skarga złodzieja Iwara o to, że wzięty był na tortury nie przez spełniającego zwykle te obowiązki urzędnika, ale przeze mnie; dowodzi bowiem, że nie będąc osądzonym, nie był jeszcze pozbawionym czci. Nie pozwalaj też, żono, twoim małym bawić się z cęgami i szczypcami; poniszczyli moje narzędzia tak, że dzisiaj nie mogłem ich użyć. Gdzież są te małe poczwary? — mówił dalej, zbliżając się do słomy, na której, jak się zdawało Spiagudremu, leżały trzy trupy. — A, oto leżą

i śpią mimo hałasu, jakby ich kto dopiero co od szubienicy odczepił.

Ze słów tych, tak pełnych okropności, wprost przeciwnych straszemu spokojowi i szatańskiej wesołości tego, który je wymawiał, czytelnik odgadł zapewne — kto był mieszkańcem wieży Vygla. Spiagudry, który na jego widok przypomniał sobie, że go oglądał często w smutnych uroczystościach na rynku w Drontheim, o mało ze strachu nie stracił przytomności, tem więcej, że od wczoraj miał poważne powody obawiania się tego straszego wykonawcy sprawiedliwości. Nachyliwszy się do Ordenera, rzekł doń przytłumionym głosem:

— To Nychol Orugix, kat prowincyi Drontheimhuus.

Ordener, przejęty wstrętem, zadrzał i w pierwszej chwili doznał niezadowolenie, że go burza pod ten dach sprowadziła. Niebawem jednak owładnęło nim uczucie jakiejś niewysłowionej ciekawości; nie zwracając przeto uwagi na zakłopotanie i przestrasz swego starego przewodnika, słuchał z taką bacznością rozmowy i obserwował tak pilnie zwyczaj okropnego człowieka, którego miał przed oczyma, jak chciwie słuchamy wycia hyeny lub ryku tygrysa, sprowadzonego z pustyni do miast naszych. Nieszczęśliwy Benignus natomiast wcale nie był w usposobieniu robienia spostrzeżeń psychologicznych. Schowawszy się za Ordenera, okrywał się swym płaszczem, poprawiał drżącą ręką plaster na oku i nasuwał na twarz perukę, a nie śmiąc odetchnąć, wzdychał tylko.

Tymczasem gospodyni podała na stół gliniany półmisek z ćwiartką baraniny. Kat zasiadł naprzeciw Ordenera i Spiagudrego, pomiędzy dwoma księżmi,

jego zaś żona, postawiwszy na stole dzban słodkiego piwa, kawał *rinde brodu* (chleba, mieszanego z korą) i pięć talerzy drewnianych, zasiadła przed ogniem i zaczęła ostrzyć wyszczerbione szczypce swego męża.

— Tak więc, szanowny pastarze — rzekł Orugix śmiejąc się — owca ofiaruje wam barana. Panie w peruce, czy to wiatr tak panu włosy na twarz nasunął?

— Wiatr... panie, burza... — wybelkotał ze drżeniem Spiagudry.

— No, no, ośmielcie się, mój stary. Widzisz pan przecie, że panowie księża i ja jesteśmy sobie dobrzy ludziska. Powiedz pan lepiej, kto jesteś i kto jest pański milczący towarzysz, pogadaj trochę. Musimy się zaznajomić. Jeśli zaś pańska rozmowa taką będzie, jak można sądzić z jego powierzchowności, to się możemy zabawić.

— Pan sobie żartujesz — rzekł Spiagudry wykrzywając usta, pokazując zęby i mrugając okiem, a to w celu udania uśmiechu — jestem tylko starym...

— Tak — przerwał wesoły kat — jakim starym uczonym albo czarnoksiężnikiem...

— O! panie, jestem uczonym, ale nie czarnoksiężnikiem.

— Tem gorzej. Czarnoksiężnik przydałby się do skompletowania naszego wesołego *sanhedrinu*. Szanowni moi goście, wypijmy na cześć starego uczonego, który rozweseli naszą wieczerzę. Za zdrowie powieszzonego dzisiaj, bracie kaznodziejo! A wy, bracie pustelniku, nie chcecie pić mojego piwa?

Pustelnik w samej rzeczy dobył z pod habita tykwę pełną czystej wody i nalał ją w szklanke.

— Do kroćset, pustelniku z Lynrass—zawołał kat — skoro nie chcecie spróbować mego piwa, to ja spróbuję tej wody, która wam lepiej smakuje.

— Spróbuj — odparł pustelnik.

— Zdejmcie wpierw waszą rękawicę, szanowny bracie—rzekł kat—nalewa się przecież tylko gołą ręką.

Pustelnik dał znak odmowy.

— To ślub—rzekł.

— Więc nalej i tak—dodał kat.

Zaledwie Orugix przytknął do ust szklanke, natychmiast ją odsunął, pustelnik zaś swoją duszkiem wychylił.

— Na czarę Jezusa, szanowny pustelniku, co to za napój piekielny? Nie piłem go od czasu, jak o mało nie utopiłem się płynąc z Kopenhagi do Drontheimu. Co prawda pustelniku, to wcale nie woda ze źródła w Lynrass; to woda morska...

— Woda morska!—powtórzył Spiagudry, którego przestach wzmógł się na widok rękawicy pustelnika.

— Cóż to? — rzekł kat, zwracając się do niego ze śmiechem—wszystko tu was niepokoi, mości długowłosy Absalonie, a nawet napój świętobliwego pustelnika, który umartwienie sobie zadaje?

— O, nie panie... ale woda morska... jeden jest tylko człowiek...

— Jak widzę, sam nie wiesz, co pleciesz, mości doktorze; wasza bojaźń, między nami mówiąc, pochodzi albo z nieczystego sumienia, albo z pogardy...

Słowa te, gniewnym wypowiedziane tonem, przekonały Spiagudrego, że powinien strach swój starannie ukrywać. Ażeby ułagodzić straszego gospodarza, we-

zwał na pomoc swoją pamięć i zebrał resztę przytomności umysłu jaka mu jeszcze pozostała.

— Z pogardy! Ja miałbym uczuwać pogardę dla was, panie, którego obecność w prowincyi nadaje jej prawo *merum imperium* (prawo krwi, to jest utrzymywania kata)? Dla mistrza i wykonawcy wyroków sprawiedliwości, jej miecza, tarczy niewinności? Dla was, którego Arystoteles, w szóstej księdze, w ostatnim rozdziale swoich *Polityków* zalicza do urzędników, i o którym Paris z Puteo, mówiąc w swoim traktacie *De Syndico*, wspomniał o płaconem wam wynagrodzeniu w wysokości pięciu talarów złotem, jak o tem świadczy ustęp: *Quinque aureos manivolto?* Z pogardy dla was, panie, którego straszne, lecz zaszczytne obowiązki we Frankonii spełniają z dumą nowozaślubieni, w Reutlingue najmłodszy z radców, — w Stedieu pierwszy z mieszczan? A czyż ja o tem nie wiem, mój dobry panie, że we Francyi pańscy koledzy mają prawo *havadium* na każdym z chorych w Saint-Landre, na wszystkich wieprzach i ciastach w wigilię Trzech Króli? I ja nie miałbym dla pana szacunku, kiedy opat w Saint-Germain-de-Pres daje wam corocznie, na Ś-ty Wincenty, głowę wieprza i prowadzi na czele procesyi?!

Tu zapał erudycyi odźwiernego umarłych kat nagle powstrzymał.

— A to, na uczeiwość, pierwszy raz o tem słyście! Uczony opat, o którym pan mówisz, nie wypełniał dotąd tych pięknych praw, które malujesz pan tak powabnie. Wiecie jednak, panowie nieznajomi—mówił dalej Orugix—że choć nie przywiązuję żadnej wiary

do tego, co mówił ten stary żartowniś, mogłem wszakże zejść znacznie dalej, niż zaszedłem. Czy uwierzycie, że to ja właśnie naznaczony zostałem, dwadzieścia cztery lata temu, do stracenia Schumackera?

— Schumackera, hrabiego Griffenfeld! — zawołał Ordener.

— Zadziwia to was, milczący panie? Tak, tak, tego samego Schumackera, który jeszcze dostać się może pod moją rękę, jeśli królowi spodoba się spełnić to, co tylko chwilowo odroczył. Wypróżnijmy ten dzbanek, panowie, a tymczasem opowiem wam, w jak świetny sposób zacząłem swoją karyerę, którą kończę tak nędznie. W roku 1676, byłem pomocnikiem królewskiego kata w Kopenhadze. Kiedy hrabia Griffenfeld został na śmierć skazany, pryncypał mój zachorował, mnie więc, dzięki usilnej protekcyi, polecono zastąpić go w tej zaszczytnej egzekucyi. Piątego lipca, nie zapomnę nigdy tego dnia, od samego rana, przy pomocy cieśli, stawiałem na placu cytadeli ogromne rusztowanie, które, przez wzgląd na znaczenie i stopień skazanego, obiliśmy czarnym kirem. O ósmej godzinie, gwardya szlachecka otoczyła rusztowanie, a ulany szlezwiskie powstrzymywały tłum, cisnący się na rynek. Któżby na mojem miejscu nie był upojony dumą? Stojąc z mieczem w ręku, czekałem na rusztowaniu. Wszystkie spojrzenia na mnie były skierowane: byłem wówczas najważniejszą osobą w obu królestwach. Karyera moja, jak powiadam, była pewną; cóż bowiem znaczyli bez mojej pomocy wszyscy ci wielcy panowie, co się sprzysięgli na zgubę kanclerza? Widziałem się już królewskim katem w stolicy, miałem pomocników,

przywileje... Słuchajcie tylko! Zegar bije dziesiątą!... Skazany wychodzi z więzienia, przechodzi przez rynek i wstępuje na rusztowanie krokiem pewnym, z obliczem zupełnie spokojnem. Chcę mu związać włosy; on mnie odpycha i oddaje sobie sam tę ostatnią przysługę.—Dawno już—rzekł do kapelana — sam się nie czesałem. — Podaję mu czarną zasłonę; on ją odsuwa od swoich oczu, nie okazawszy mi jednak wzgardy ani wstrętu. — Mój przyjacielu — rzekł do mnie — pierwszy to raz zapewne, na przestrzeni kilku stóp, stoi dwóch urzędników, stanowiących ostatnie stopnie w hierarchii sądowniczej: kanclerz i kat. — Słowa te wyryły się w mojej pamięci. Nie przyjął również czarnej poduszki, którą chciałem podłożyć pod jego nogi, ucisnął księdza i ukląkł, wpierw jednak powiedziawszy donośnym głosem, że umiera niewinnym. Wówczas uderzeniem maczugi zgruchotałem jego tarczę herbową, wołając podług zwyczaju:—Nie dzieje się to bez słusznego powodu! — Było to już za wiele dla hrabiego; zbladł, śpiesznie jednak wyrzekł: — Król mnie herbem obdarzył, król mi go odebrać może.—Potem położył głowę na pniu z oczami na wschód zwróconemi, ja zaś oburącz podniosłem mój miecz... Słuchajcie uważnie! W tej chwili dochodzi aż do mnie okrzyk:—Ułaskawienie, w imieniu króla! Ułaskawienie dla Schumackera! — Odwracam się... Był to adyutant pędzący galopem ku rusztowaniu z pergaminem w ręku. Hrabia podniósł się z twarzą niewesołą, ale tylko zadowoloną. Wręczono mu pergamin. — Sprawiedliwy Boże! — zawołał — wieczne więzienie! Ich łaska cięższą jest [od samej śmierci. — Powiedziawszy

to, zszedł upadły na duchu z rusztowania, na które wstąpił z całym spokojem umysłu. Dla mnie, wszystko to już było jedno. Nie myślałem, aby ocalenie tego człowieka mogło być moją zgubą. Rozebrawszy rusztowanie, powracam do swego pryncypała, pełen jeszcze nadziei, niezadowolony tylko ze straty talara złotem, to jest wynagrodzenia za ścięcie głowy. Nazajutrz odbieram rozkaz wyjazdu i nominację na wykonawcę prowincjonalnego do Drontheimhuusu. Zostałem katem prowincyi i to najgorszej w całej Norwegii! Powodem tego była osobista niechęć. Miałem brata i jak sądzę, mam go jeszcze. Zdołał on, zmieniawszy nazwisko, wkręcić się do domu nowego kanclerza, hrabiego Ahlefeld. Obecność moja w Kopenhadze przeszkadzała temu nędznikowi. Pogardza mną, ponieważ ja go pewnie kiedyś powieszę.

Tutaj przerwał swoje opowiadanie, aby dać upust wesołości, po chwili zaś mówił dalej:

— Jak widzicie, szanowni goście, pogodziłem się z moim losem. Na uczciwość, niech dyabli porwą wygórowaną ambicję! Spełniam więc zaszczytne swoje obowiązki: sprzedaję trupy, albo też Bechlja robi z nich skielety, które kupuje ode mnie Gabinet Anatomiczny w Berghen. Śmieję się ze wszystkiego, nawet z tej biednej kobiety, która przedtem była Cyganką, a dziś osamotniona aż waryacyi dostaje. Trzech moich spadkobiereców wyrasta w bojaźni dyabła i szubienicy. Imię moje jest postrachem dla małych dzieci w całym Drontheimhuus. Syndycy dają mi wóz i strój czerwonny. Przekłeta Wieża tak dobrze ochrania mnie od deszczu, jak i pałac biskupi. Starzy księża, któ-

rych burza do mnie przypędzi, prawią mi kazania, uczeni pochlebiają. Jednym słowem jestem szczęśliwy, jak każdy inny: jem, piję, wiem i śpię doskonale.

Opowiadanie swoje kat przerywał popijaniem piwa i ciągłymi wybuchami śmiechu.

— Zabija i śpi! — wyszeptał pastor — nieszczęśliwy!

— Jaki ten nędznik szczęśliwy! — zawołał pustelnik.

— Tak, bracie pustelniku — rzekł kat — biedny jak wy, ale jednak stokroć od was jestem szczęśliwszy. Zawód mój zresztą bardzo byłby dobry, ale cóż, kiedy są ludzie, co mają przyjemność pozbawienia mnie słusznych korzyści. Czy uwierzycie, że z okazji jakiegoś tam ślubu, nowo zamianowany kapelan przy więzieniu w Drontheim wystąpił z prośbą o ułaskawienie dwunastu skazanych, którzy już do mnie należą?...

— Którzy do was należą! — zawołał pastor.

— Bez wątpienia, mój ojcze. Siedmiu z nich ma być smaganych różgami, dwóch piętnowanych na lewym policzku, a trzech powieszonych; razem, jak powiedziałem, dwunastu. Tak jest, stracę dwanaście talarów i trzydzieści askalinów, jeśli będą ułaskawieni. Jak też panowie uważacie tego kapelana, który tak rozrządza sobie moją własnością? Ten przeklęty ksiądz nazywa się Anastazy Munder. Oh! gdybym go dostał w swoje ręce!...

Pastor powstał z powagą i głosem spokojny rzekł:

— To ja właśnie, mój synu, jestem Anastazym Munder.

Na to imię, Orugix zerwał się gwałtownie z siedzenia, ogniem zajaśniała jego twarz. Jednakże, gdy wzrok jego spotkał spokojne i życzliwe spojrzenie jałmużnika, usiadł powoli milezący i zmieszany.

Nastąpiła chwila milczenia; Ordener, który powstał od stołu gotów bronić pastora, przerwał je pierwszy.

— Nycholu Orugix — rzekł — oto trzynaście talarów jako wynagrodzenie za ułaskawienie skazanych.

— Niewiadomo, niestety! przerwał pastor — czy je zdołam otrzymać? Musiałbym wprzód widzieć się z synem wice-króla, ponieważ zależy to od jego małżeństwa z córką kanclerza.

— Otrzymacie je, księżę kapelanie — odpowiedział młody człowiek upewnijająco. — Ordener Guldenlew nie przyjmie pierścienia ślubnego, zanim protegowani pańscy nie będą ułaskawieni.

— Pan mi w tem pomóż nie możesz, niech cię Bóg jednak wysłucha i wynagrodzi.

Tymczasem trzynaście talarów Ordenera dokończyły tego, co rozpoczęło spojrzenie pastora. Na twarz Nychola, zupełnie już spokojną, wróciła dawna wesołość.

— Wiesz pan, szanowny kapelanie, że jesteś dzielny człowiekiem i godnym pełnienia obowiązków przy kaplicy Ś-go Hilaryusza; doprawdy, że mówiłem o panu gorzej, niż myślałem. Idziesz pan po swojej drodze, nie pańska przeto wina, że ona się z moją krzyżuje. Prawdziwą zawziętość mam tylko dla dozorczy umarłych w Drontheim, tego starego czarnoksiężnika, odźwiernego Spladgestu... Jakże to on się nazywa...? Spiagudry?... Spiagudry?... Panie doktorze, co jesteś prawdziwą wieżą Babel pod względem nauki,

co umiesz wszystko, powinienes mi przecie pomódz, abym przypomniat sobie nazwisko tego czarownika, pańskiego współkolegi. Przecie musiales pan kiedykolwiek w dzień sabatu spotkać go, jak wędrował w powietrzu na miotle?

Gdyby biedny Benignus mógł być w tej chwili uciec na jakim napowietrznym wierzchowcu tego rodzaju, to opowiadający niniejsze przygody zupełnie nie wątpi, że trwoga nie pozwoliłaby mu ani minuty się nad tem namyslać. Od chwili, kiedy zewszad widzial groźne dla siebie niebezpieczeństwo, przywiązanie do życia rozwinęło się w nim z całą siłą. Wszystko, co tylko spostrzegat, przestraszało go: podanie o Przekletej Wieży, bezmyślne oko czerwonej kobiety, głos i napój tajemniczego pustelnika, awanturicza śmiałość młodego towarzysza, a nadewszystko kat, ten kat, do którego jaskini wpadł, uciekając obarczony zbrodnią. Drzał tak silnie, że wszystkie jego ruchy były jakby sparaliżowane, a zwłaszcza, gdy rozmowa do niego się odnosiła, lub kiedy straszny Orugix zwracał doń swoje słowa. A że wcale nie miał chęci naśladowania heroizmu pastora, język jego przeto długo nie był mu posłuszny.

— No i cóż? — zapytał kat — czy pan wiesz jak się nazywa dozorca Spladgestu? A może pańska peruka słuch panu przytępia?

— Tak jest, trochę, panie... Zresztą — dodał po chwili — ja nie wiem jak się on nazywa, przysięgam panu.

— On tego nie wie! — odezwał się straszny głos pustelnika. — I jeszcze przysięga na to! Ten człowiek nazywa się Benignus Spiagudry.

— Ja? ja? wielki Boże! — zawołał starzec z przestachem.

Kat parskat śmiechem.

— A któż tu mówi, że się pan tak nazywasz? Mówimy przecie o tym poganinie odźwiernym. Ten jegomość to się o lada co przestrasza. Coby to było, gdyby bojaźń jego miała słuszną pobudkę? Dopiero byłyby zabawny! Tak więc, szanowny doktorze — mówił dalej kat — którego serdecznie bawił przestach Spiagudrego — pan nie znasz tego Benignusa Spiagudrego?

— Nie panie — odpowiedział dozorca, uspokojony nieco swoim *incognito* — nie znam go, upewniam pana. Bardzoby mi nawet było przykro, gdybym znał tego człowieka, skoro on się panu nie podoba.

— A wy, pustelniku — zapytał kat — zdajesz się go znać bardzo dobrze.

— Znam go rzeczywiście — odparł pustelnik. — Jest to człowiek stary, wysoki, chudy, łysy..

Spiagudry, słusznie zaniepokojony, poprawił naprędce swą perukę.

— Ma on — mówił dalej pustelnik — ręce długie jak złodziej, który od tygodnia nie spotkał żadnego podróznego; trzyma się pochyło..

Spiagudry wyprostował się, o ile mógł najlepiej.

— Moznaby go zresztą wziąć za jednego z trupów, pieczy jego powierzonych, gdyby nie miał oczów tak przeszywających..

Spiagudry poprawił swój plaster opiekuńczy.

— Dziękuję wam ojcze — rzekł kat do pustelnika — teraz już z łatwością poznam tego starego Żyda...

Spiagudry, będąc dobrym chrześcijaninem, oburzony tą obelgą, nie był w stanie powstrzymać wykrzyku:

— Żyda!

Później zamilkł, przerażony tem, że za wiele powiedział.

— Żyda, czy poganina, to wszystko jedno, skoro tylko ma stosunki z dyabłem, jak powiadają.

— Chętniebym w to uwierzył — rzekł pustelnik z ironicznym uśmiechem, którego kaptur nie mógł pokryć — gdyby on tylko nie był takim tchórzem. Bo jakżeby mógł wejść w stosunki z dyabłem, kiedy jest o tyle trwożliwy, o ile zły. Skoro go strach przejmuje, wtedy nie zna nawet samego siebie.

Pustelnik mówił zwolna, jak gdyby dla zmiana swego głosu, a właśnie powolność jego mowy nadawała jej szczególniejszy wyraz.

— Nie zna samego siebie! — powtórzył z cicha Spiagudry.

— Szkoda — rzekł kat — że ten człowiek tak zły, jest przytem tchórzem, albowiem w takim razie nie warto go nawet nienawidzić. Z węzłem potrzeba walczyć, jaszczurkę depcze się tylko.

— Lecz czy panowie jesteście pewni, że ów dozorca jest takim, jak mówicie? Czyżby taka o nim była opinia?

— Opinia? — powtórzył pustelnik — ależ on ma najszkaradniejszą opinię w całej prowincyi!

Benignus, zbity z tropu, zwrócił się do kata.

— Co pan mu masz do zarzucenia? — zapytał — ponieważ nie wątpię, że pańska uraza musi być słuszną.

— Dobrze pan robisz, że o tem nie wątpisz; ponieważ jego powołanie podobne jest do mego, Spiagudry przeto robi, co może, aby mi szkodzić.

— O! panie, nie wierz pan w to!... Jeżeli zaś tak jest wistocie, to człowiek ten czyni to jedynie dlatego, że nie widział pana, jak ja, otoczonego przez powabną małżonkę i zachwycające dzieci, przypuszczającego nieznanym do używania szczęścia swego domowego ogniska. Gdyby ten nieszczęśliwy doznał, jak my, waszej miłej gościnności, wtedy nie mógłby już być pańskim nieprzyjacielem.

Zaledwie Spiagudry skończył swoją zręczną przemowę, kiedy żona kata, milcząca dotychczas, powstała i rzekła kwaśno, a zarazem uroczyście:

— Żądło żmii najbardziej bywa jadownicę, kiedy jest miodem napojone.

Poczem usiadła znowu i zaczęła dalej czyścić kleszcze, co wydawało odgłos chrapliwy i piszczący, który wypełniał przerwy rozmowy, a dla uszu podróżnych, był jakby chorem demonów w greckiej tragedyi.

— Rzeczywiście, że to waryatka — rzekł do siebie Spiagudry, nie mogąc inaczej wytłumaczyć sobie, dlaczego jego pochlebstwo tak źle sprawiło wrażenie.

— Bechlja ma słuszną, mości doktorze jasności! — zawołał kat. — Ja sam będę uważał, że pan masz język żmii, jeśli zechcesz nadal usprawiedliwiać tego Spiagudrego...

— A niechże mnie Bóg od tego zachowa! — zawołał ten ostatni — ja go wcale nie usprawiedliwiam.

— No, to dobrze. Pan nie wiesz zresztą, jak daleko posuwa się jego zuchwałstwo. Czy pan uwie-

rzysz, że ten bezwstydnym człowiek ośmiela się rywalizować ze mną o prawo do osoby Hana z Islandyi?

— Hana z Islandyi!...— rzekł porywczy pustelnik.

— Ależ tak. Czy pan znasz tego sławnego rozbójnika?

— Znam — rzekł pustelnik.

— Każdy rozbójnik należy przecież do kata, nie— prawdaz? Otóż na jaki sposób bierze się ten piekielny Spiagudry: żąda, aby naznaczono nagrodę za głowę Hana...

— Żąda naznaczenia nagrody za głowę Hana?— powtórzył pustelnik.

— Tak jest, ośmielił się, a to dlatego tylko, aby mu się jego ciało dostało i żeby mnie pozbawić mojej własności.

— To niegodziwie, mistrzu Orugix. Jakże można wydzierać ci własność, która tak widocznie do ciebie należy!

Słowom tym towarzyszył złośliwy uśmiech, który dreszczem przejął Spiagudrego.

— Tem czarniejszy jest ten postępek, że potrzeba mi jakiej głośniejszej egzekucji, na przykład Hana, aby wyjść z nędznego stanu, z którego mnie egzekucja Schumackera nie wyprowadziła.

— Czy doprawdy mistrzu Nychol?

— Tak jest, bracie pustelniku; przyjdź do mnie, jak tylko schwytają tego Hana, a ofiaruję ci tłustego wieprza za moje przyszłe wyniesienie się.

— Bardzo chętnie; ale któż wam zareczy, że ja będę wówczas wolny? Mówiłeś zresztą, że niech dyabli porwą wygórowaną ambicję.

— To prawda, mój ojcz, bo widzę, że aby rozwiązać moje najpewniejsze nadzieje, dość jest jednego Spiagudrego i jednej prośby o naznaczenie nagrody za głowę.

— Tak więc—mówił pustelnik dziwnym głosem— Spiagudry tego żąda?

Głos ten zrobił na biednym dozorecy umarłych takie wrażenie, jakie na ptaku sprawia wzrok ropuchy.

— Panowie—rzekł—po co sądzić tak lekkomyślnie? To nie jest pewne, może to tylko fałszywa pogłoska...

— Fałszywa pogłoska! — zawołał Orugix — ależ to nie podlega żadnej wątpliwości. Żądanie syndyka jest obecnie w Drontheim, a poparł je swoim podpisem dozorca Spladgestu. Oczekują tylko na decyzję jego ekscelencji generał-gubernatora.

Kat tak dobrze był uwiadomiony, że Spiagudry nie śmiał prowadzić dalej swego usprawiedliwienia; musiał więc poprzestać na przeklinaniu w myśli, i to po raz setny, swego młodego towarzysza. Ale jakież było jego przerażenie, gdy pustelnik, który przez chwilę zdawał się zastanawiać, nagle zawołał szyderczo:

— Mistrzu Nychol, jaka kara spotyka świętokradców?

Słowa te zrobiły na Spiagudrym takie samo wrażenie, jak gdyby mu zerwano jego plaster i perukę. Oczekiwał z niepokojem odpowiedzi Orugixa, który wpiery wypróżnił swą szklanicę.

— To zależy od rodzaju świętokradztwa — odrzekł nareszcie.

— Jeśli więc świętokradca dopuścił się sprofanowania trupa?

Spiagudry, drząc całą, spodziewał się co chwila usłyszeć z ust tajemniczego pustelnika swoje nazwisko.

— Dawniej—rzekł kat—przestępcę tego rodzaju grzebano wraz z trupem przez niego sprofanowanym.

— A dziś?

— Dziś postępuje się daleko łagodniej.

— Daleko łagodniej! — powtórzył Spiagudry, zaledwie oddychając.

— Tak jest — odparł kat wesóło, z zaniedbaniem artysty, mówiącego o swej sztuce — wypala się żelazem literę S na jego obu łydkach...

— A potem? — zapytał dozorca, na którym tę część kary byłoby bardzo trudno wykonać.

— Potem — odparł kat — wiesz się go tylko.

— Litości! — zawołał Spiagudry — jakże można wieszać?

— Cóż to? Patrzycie na mnie, jak skazany na szubienicę.

— Z przyjemnością widzę — rzekł pustelnik — że teraz postępują w tym względzie z całą ludzkością.

W tej chwili dał się słyszeć w oddaleniu donośny i prerywany głos rogu, że zaś burza zupełnie ucichła, przeto głos ten wyraźnie dochodził aż do wieży.

— Nychol — rzekła — kobieta, ścigają widać jakiegoś zoczyńcę; to głos rogu łuczników.

— Rogu łuczników!—powtórzył każdy z obecnych innym głosem, Spiagudry zaś z największym przestachem.

Zaledwie wymówili te słowa, kiedy zastukano do drzwi wieżycy.

XIII

Mówisz, że śmierć hrabiego jest dla mnie szczęściem, największym szczęściem, jakie mnie spotkać mogło... Jeśli więc tak jest, to czyż warto się nad tem zastanawiać? Jeden hrabia więcej lub mniej na świecie, czy to co tak ważnego? Wszak to właśnie chciałeś powiedzieć, Marinneli? A więc zgoda—kilka kropel krwi to drobnostka; potrzeba tylko, aby ta krew... przyniosła korzyść tym, co ją wytoczyli.

Lessing „Emilia Galotti.“

Na północnem wybrzeżu zatoki Drontheimskiej leży spore miasteczko Loewig, opierające się o łańcuch wzgórz nagich i dziwacznie upstrzonych różnorodną roślinnością, podobnych w tem do mozaiki, dążącej aż pod niebo. Miasto bardzo smutny przedstawia widok; rybackie chałupy z drzewa i sitowia, ostrokątne lepianki z ziemi i kamienia, gdzie wysłużeni górnicy dążą dożywać swoich dni, które oszczędzony grosz pozwala im na Bożym świecie przepędzić, a wreszcie nędzne i opuszczone chaty, tworzą ciasne i kręte jego uliczki. Na jednym z rynków, gdzie dziś

istnieją tylko szczątki wyniosłej wieży, stał wówczas starożytny zamek, zbudowany przez Horde-Łuczniaka, pana na Loewigu, towarzysza broni pogańskiego króla Haldfdana. W roku 1698 zamieszkiwał ów zamek syndyk miasta, zajmując najlepsze w całym miasteczku mieszkanie, z wyjątkiem tylko srebrzystego bociana, którego co lato można było widzieć na spiczastej wieży kościoła, jak gdyby białą perłę na ostrym końcu czapki mandaryna.

W tym samym dniu, kiedy Ordener przybył do Drontheimu, jakiś nieznajomy, zachowując również incognito, wylądował w Loewig. Jego złocona, choć bez herbów, lektyka, wraz z czterema hajdukami, od stóp do głowy uzbrojonymi, była powodem do rozmaitych przypuszczeń i ogólną wzbudziła ciekawość. Oberżysta z pod Złotej Mewy, nędznej austeryi, w której zamieszkał nieznajomy, stał się tajemniczym, a na wszelkie zapytania odpowiadał: „Nie wiem“, z miną mówiącą jasno: „Wiem wszystko, ale nic powiedzieć nie mogę“. Hajducy milczeli jak ryby, a wyglądali posepniej niż otchłań podziemnej kopalni. Syndyk z początku zamknął się w swej wieży, oczekując, z uwagi na swe znaczenie, odwiedzin nieznajomego; wkrótce jednak mieszkańcy ujrzeli z zadziwieniem, jak dwukrotnie, i to naprzóżno, udawał się pod Złotą Mewę, a wieczorem czatował na ukłon nieznajomego, opartego na wpół otwartem oknie.

Kumoszki wnioskowały stąd, że nieznajomy musiał wyjawić panu syndykowi swoją wysoką godność. Myliły się jednak. Jeden z hajduków, przysłany przez nieznajomego, był u syndyka dla zawizowania paspor-

tu, przyczem tenże zauważył, że na pakiecie, niesionym przez posłańca, przyłożona była wielka pieczęć na zielonym wosku. Dostrzegł również, że pieczęć ta wyobrażała dwie ręce skrzyżowane, podtrzymujące płaszcz gronostajowy, a na nim z hrabiowską koroną herb, otoczony łańcuchami orderów Słonia i Danebroga. Spostrzeżenie to dostatecznym było dla syndyka, który pragnął gorąco otrzymać od wielkiego kanclerza nominację na syndyka prowincyi Drontheimhuus. Ale daremne były jego starania, nieznajomy bowiem nie chciał przyjąć nikogo.

Drugi dzień po przybyciu podróżnego do Loewig miał się już ku schyłkowi, kiedy oberżysta wszedł do pokoju mówiąc, że posłaniec, przez jego cześć oczekiwany, właśnie przybył.

— Niech wejdzie — rzekł jego cześć.

W chwilę potem, posłaniec wszedł, a zamknawszy starannie drzwi, skłonił się aż do ziemi przed nieznajomym wpół do niego odwróconym i oczekiwał w uniożonem milezeniu, aż ten ostatni przemówi do niego raczy.

— Spodziewałem się ciebie dzisiaj rano — rzekł nieznajomy — cóż cię zatrzymało?

— Sprawy waszej łaski, panie hrabio: czyż ja się o co innego troszczę?

— Co się dzieje z Elphegią? z Fryderykiem?

— Zdrowi są zupełnie...

— Dobrze! dobrze! A czy co ciekawszego nie masz mi do powiedzenia? Co tam nowego w Drontheim?

— Nic, oprócz tego, że baron Thorvick wczoraj tam przybył.

— Tak, bo miał zasięgnąć rady tego starego Meklemburczyka, Lewina, co do projektowanego małżeństwa. Czy nie wiesz, jaki był rezultat jego widzenia się z gubernatorem?

— Dziś do południa, to jest do chwili mojego wyjazdu, pan baron nie widział się jeszcze z jenerałem.

— Jak to? toż wczoraj przyjechał! Zadziwisz mnie, Musdoemonie. A czy widział się z hrabiną?

— Także nie, panie hrabio.

— A więc to ty się z nim widziałeś?

— Nie, szlachetny panie; a zresztą ja go nie znam wcale.

— Skoro go więc nikt nie widział, skądże wiesz o tem, że jest w Dronheimie?

— Od jego służącego, który przybył wczoraj do pałacu gubernatora.

— A gdzież się on sam podział?

— Jego służący twierdzi, że po przybyciu, odpłynął zaraz do Munckholmu, po zwiedzeniu jednak Spladgestu.

Spojrzenie hrabiego zapłonęło gniewem,

— Do Munckholmu! do więzienia Schumackera! — zawołał — czy jesteś tego pewnym? Zawsze byłem zdania, że ten poczciwy Lewin nas zdradza. Do Munckholmu? czy też...

— Szlachetny panie — przerwał Musdoemon — to jeszcze niewiadomo, czy on tam był rzeczywiście.

— Jak to? Przecież sam mówiłeś? Czy sobie żartujesz ze mnie?

— Niech wasza łaska zechce mi przebaczyć, ja tylko powtórzyłem to, co mi powiedział służący pana barona. Pan Fryderyk jednak, który był wczoraj na służbie w wieżycy, nie widział barona Ordenera.

— Piękny dowód! Przecież Fryderyk nie zna syna wice-króla. Ordener mógł wejść do fortecy incognito.

— Tak jest, panie hrabio, ale pan Fryderyk utrzymuje, że zupełnie nikogo nie widział.

Hrabia nieco się uspokoił.

— No, to co innego — rzekł — ale czy syn mój rzeczywiście tak twierdzi?

— Trzy razy mnie o tem zapewniał; a przecież pan Fryderyk nie może mieć w tem żadnego interesu.

Uwaga ta zupełnie uspokoiła hrabiego.

— Ach! rozumiem — rzekł. — Baron, przybywszy do Dronheimu, chciał zapewne przejechać się po zatoce, a jego służący z tego wnosił, że się udał do Munckholmu. A zresztą, co by on tam robił? Napróznom się tylko zaniepokoił. Ta zaś opieszałość mojego zięcia, co do zobaczenia się z Lewinem, dowodzi, że nie ma do niego tak silnego przywiązania, jak się tego obawiałem. Nie wierzysz, kochany Musdoemonie — mówił dalej hrabia z uśmiechem — że mi się zdawało, jakoby Ordener zakochany był w Etheli Schumacker, a z jego podróży do Munckholmu, ułożyłem sobie najzupełniejszą intrygę miłosną. Bogu jednak dzięki, że Ordener nie taki szalony. Ale, ale, cóż się tam dzieje

z tą młodą Danaidą od czasu, jak się dostała w ręce Fryderyka?

Musdoemon powziął względem Etheli Schumacker te same co i pan jego podejrzenia i naprózno chciał je zupełnie przewyciężyć. Zadowolony jednak, że widział swojego pana uśmiechniętym, ani myślał rozchwiewać jego upewnienia, przeciwnie nawet, starał się je umocnić dla powiększenia jego dobrego humoru, tak dogodnego w wielkich panach dla ich ulubieńców.

— Szlachetny hrabio — rzekł — dostojny syn wasz nie nie wskórał u córki Schumackera; zdaje się jednak, że się znalazł ktoś inny, od niego szczęśliwszy.

Hrabia przerwał mu żywo:

— Ktoś inny! I któż to taki?

— Jakiś chłop czy wazal...

— Czy doprawdy? — zawołał hrabia, którego surowa i ponura fizygnomia nagle się rozpromieniła.

— Pan Fryderyk upewniał o tem tak mnie, jak i panią hrabinę.

Hrabia powstał i zaczął szybko chodzić po pokoju, zacierając ręce.

— Musdoemonie, mój drogi Musdoemonie! jeszcze jedno usiłowanie, a staniemy u celu. Latorośl już jest skalana: trzeba nam teraz całe drzewo obalić. Czy nie masz jeszcze jakiej dobrej nowiny?

— Dispolsen został zamordowany.

Twarz hrabiego stanowczo się wypogodziła.

— A co! po jednym tryumfie, drugi. A czy zabrano jego papiery, nadewszystko zaś tę żelazną szkatułkę?...

— Z przykrością oznajmić muszę waszej łasce, że zabójstwo nie przez naszych dokonane zostało. Zabito go i obdarto na płaszczyznach Urechtalu, czyn zaś ten, jak mówią, popełnił Han z Islandyi.

— Han z Islandyi! — powtórzył hrabia, którego twarz znowu się zachmurzyła. — Jak to! ten sławny bandyta, któregośmy chcieli postawić na czele naszego buntu?

— On sam, szlachetny hrabio, a z tego, co o nim słyszałem, obawiam się, że z trudnością będziemy go mogli wynaleźć; na wszelki przeto wypadek postarałem się o dowódcę, który przybierze jego imię i będzie go mógł zastąpić. Jest to półdziki góral, wysoki i silny jak dąb, a okrutny i śmiały jak wilk w śniegowym stepie. Straszny ten olbrzym musi być podobny do Hana z Islandyi.

— Czyż ten Han jest także wysoki?

— Przynajmniej tak wszyscy utrzymują, panie hrabio.

— Podziwiam zawsze, kochany Musdoemonie, zręczność, z jaką układasz swoje plany. A kiedy powstanie wybuchnie?

— W bardzo krótkim czasie, a może już wybuchło. Opieka królewska oddawna uciążliwą jest dla górników; wszyscy więc z radością przyjęli myśl buntu. Wybuchnie on w Guld-Branschal, rozszerzy się na Sund-Moer i dojdzie aż do Kongsbergu. Dwa tysiące górników może być w pogotowiu w ciągu trzech dni; powstanie wybuchnie w imię Schumackera; w jego to imieniu działają między górnikami nasi emisaryusze. Południowe rezerwy i garnizony z Drontheim i Skongen napewno cofną się przed nimi. Wasza

łaska przeto będzie tutaj jakby umyślnie dla przytłumienia buntu, oddając tem królowi nową i znakomitą usługę, a nadto uwolni go raz na zawsze od tego Schumackera, tak niebezpiecznego dla tronu. Na tych to niewzruszonych podstawach, wzniesie się budowa, którą uwieńczy małżeństwo szlachetnej Ulryki z baronem Thorvick.

Poufna rozmowa dwóch zbrodniarzy nigdy nie trwa długo, ponieważ to, co jeszcze w nich jest ludzkiego, przestrasza się szybko tem, co już w nich piekło zaszczerpiło. Kiedy dwie dusze przewrotne odkrywają się w swej bezwstydney nagości, wtedy wspólna brzydota oburza je nawzajem. Zbrodnia nawet w zbrodni wstręt obudza—a dwóch złych ludzi, rozmawiając z całym cynizmem sam na sam o swych namiętnościach, interesach, przyjemnościach, są dla siebie wzajemnie jakby straszmem zwierciadłem. Własna podłość, ujrzana w drugim, upokarza ich; zawstydzają własną duszą, własna nicość przestrasza. A nie mogą od siebie uciec, siebie samego zaprzec w sobie podobnym, ponieważ każdy bezecny stosunek, każda szkaradna jednomyślność i ohydna równość, znajduje w nich jakiś głos, nigdy nieznużony, co im zawsze szepcze do ciągle znużonego tem ucha. Jakkolwiek byłaby tajemniczą ich rozmowa, zawsze towarzyszy jej dwóch nieznośnych świadków: Bóg, którego nie widzą i sumienie, którego znosić muszą wyrzuty.

Poufne rozmowy Musdoemona tem więcej były przykre dla hrabiego, że słuzalec ten pana swego stawiał bez ceremonii jako współnika wszystkich zbrodni tak przedsięwziętych, jak i wykonanych. Zwykle

dworacy uważają za właściwe ochraniać swoich panów od pozorów niegodnych czynów, biorąc na siebie odpowiedzialność za wszelkie zło, a czasami nawet, dla uspokojenia drażliwości swoich pryncypałów, zostawiają im tę pociechę, że oni niby to przeciwni byli spełnieniu korzystnej zbrodni. Musdoemon, przez z ręczne wyrachowanie, zupełnie przeciwną szedł drogą. Chciał on napozór rzadko być doradcą, a zawsze tylko wykonywać dane sobie rozkazy. Znał swojego pana tak, jak on znał go nawzajem; narażał się więc nieinaczej, jak i hrabiego narażając. Jego też hrabia ze wszystkich ludzi, oprócz Schumackera, najchętniej byłby na tamten świat wyprawił; wiedział on o tem tak dobrze, jak gdyby z ust hrabiego, ten zaś był pewnym zupełnie, że ta zyczliwość nie jest obcą dla jego wiernego sługi.

Hrabia dowiedział się już o wszystkim, o czem chciał wiedzieć. Pozostawało mu tylko odprawić Musdoemona.

— Musdoemonie — rzekł więc do niego z łaskawym uśmiechem — jesteś najwierniejszym i najgorliwszym ze wszystkich sług moich. Wszystko idzie dobrze, a winien to jestem twoim staraniom. Mianuję cię więc tajnym sekretarzem wielkiego kanclerstwa.

Musdoemon skłonił się nisko.

— To jeszcze nie wszystko — mówił dalej hrabia—po raz trzeci bowiem będę żądał dla ciebie orderu Danebroga; boję się wszakże, żeby twoje urodzenie i szkaradne pokrewieństwo...

Musdoemon zarumienił się, zbladł potem, lecz zmieszanie swoje ukrył, powtórnice się kłaniając.

— Idź więc — rzekł hrabia, dając mu rękę do pocałowania — idź, panie tajny sekretarzu, zredagować twój *placeat*. Dostanie się on może w ręce króla w chwili jego dobrego humoru.

— Czy go jego królewska mość zatwierdzi, czy nie, zawsze jestem dumny i przejęty dobrocią waszej łaski.

— Spiesz się tylko, mój drogi, ponieważ pilno mi odjechać. Trzeba także zebrać dokładne wiadomości co do tego Hana.

Musdoemon potrójny oddawszy ukłon, uchylił drzwi.

— Ale, ale — rzekł hrabia — zapomniałem... Jako nowy sekretarz tajny, napiszesz do kanclerstwa, aby udzielono dymisyę syndykowi z Loewig, który kompromituje swój urząd w całym kantonie przez zbytnią unізoność względem przejezdnych, których nie zna wcale.

XIV

— Tak, tak, panie, powinniśmy odbyć pielgrzymkę do grotty w Lynrass. Ktoby to uwierzył, że ten pustelnik, którego przeklinałem jakby jakiego piekielnego ducha, będzie naszym aniołem wybawicielem i że lanca, która zdawała się grozić co chwila, posłuży nam za most do przejścia przepaści?

W tych to śmiesznych nieco słowach, Benignus Spiagudry wyjawiał Ordenerowi swoją radość i wdzięczność dla tajemniczego pustelnika. Czytelnik odgaduje zapewne, że nasi dwaj podróżni wyszli już z Przekłętej Wieży. W chwili, kiedy ich znowu spotykamy, daleko już za sobą pozostawwszy wioskę Vygla, kroczą z trudnością po drodze górzystej, poprzecinanej kałużami błota i najeżonej kamieniami, które potoki, w czasie burzy powstałe, złożyły na wilgotnej i lepkiej ziemi. Jeszcze nie dnieje, oko zdoła zaledwie rozróżnić przedmioty, które jednak zaczynają przybierać stopniowo swoje właściwe kształty przy niepewnym świetle zorzy, przebijającej się z trudnością przez gęstą mgłę poranku.

Ordener milczał, od kilku bowiem chwil pograżył się w słodkim półśnie, ogarniającym niekiedy człowieka przy machinalnym i ciągłym ruchu. Nie spał wcale od wczoraj, a i poprzedniego dnia użył wywczasu w rybackiej barce, stojącej na kotwicy w Drontheim, te tylko kilka godzin, które rozdzielały jego wyjście z Spladgestu i powrót do Munckholmu. Kiedy więc ciało jego zdążyło do Skongenu, dusza pobiegła lotem ptaka

ku zatoce Drontheimskiej, do smutnego więzienia, pod ponure wieże, zamykające jedyną w całym świecie istotę, z którą dla niego łączyła się nadzieja i szczęście. Na jawie, wspomnienie Etheli zajmowało jego myśl całą, — we śnie, wspomnienie to stawało się fantastycznym widziadłem, jaśniejącem pośród jego marzeń. W tem drugim życiu, które snem nazywamy, kiedy istnieje tylko dusza a ciało, ze wszystkimi swemi dolegliwościami, zdaje się nie istnieć wcale, widział swą ukochaną, nie piękniejszą, nie czystsza, ale wolną, szczęśliwszą, — więcej do niego należąca. Na drodze wszakże do Skongenu zapomnienie o swem cielesnym i uspięniem zmysłów nie mogło być zupełne, albowiem od czasu do czasu rozpadlina, kamień, albo gałąź z drzewa, ze świata idealnego wprowadzały go w świat rzeczywistości. Podnosił wówczas głowę, otwierał znużone oczy i żałował, że z niebiańskiej podróży spadł do swej przykryj, ziemskiej wędrówki, w której za ulatujące marzenia ta mu tylko zostawała pociecha, że na sercu swoim czuł promień włosów, będących jego jedynym skarbem, zanim cała Ethel do niego należeć miała. Później znowu, wspomnienie to nasuwało mu na myśl czarujący i fantastyczny obraz i mimowoli zagłębiał się nie we śnie, ale w nieokreślonym i nieodstępnym marzeniu.

— Panie — powtórzył głośniejszym głosem Spiagudry, a tym razem głos jego, wraz z potknięciem się o pień drzewa, obudził Ordenera — niech się pan niczego nie obawia. Łucznicy, wychodząc wraz z pustelnikiem z wieży, udali się na prawo, a my tak już jesteśmy od nich daleko, że możemy przecie głośniejszym głosem rozmawiać. Przedtem jednak, co prawda, milczenie sama ostrożność nakazywała.

— Chyba ostrożność za daleko posunięta — rzekł Ordener pozywając. — Już będzie przynajmniej trzy godziny, jakżeśmy opuścili wieżę i łuczników.

— To prawda, panie; ostrożność jednak nigdy nie bywa zbyt dużą. Gdybym ja, na przykład, przyznał się kto jestem w chwili, kiedy dowódca tego przeklętego oddziału zapytał o Benignusa Spiagudry głosem Saturna, domagającego się nowonarodzonego syna, aby go pożreć; gdybym w tej strasznej minucie nie uciekł się do ostrożnego milczenia: to gdzież byłbym teraz, mój szlachetny panie?

— Zdaje mi się, na honor, że w owej chwili nie wydobytoby z ciebie, nawet żelaznymi cęgami, twego nazwiska.

— Czyliż źle uczyniłem? Gdybym przemówił, wtedy pustelnik (niech go Opatrzność i święty Usbald mają w swojej opiece) nie mógłby być zapytać dowódcy łuczników, czy jego oddział składał się z żołnierzy garnizonu munckholmskiego, a zadał mu to pytanie zapewne jedynie dlatego, aby zyskać na czasie. A po potwierdzającej odpowiedzi tego głupiego łucznika, czy zauważyłeś pan z jakim dziwnym uśmiechem pustelnik kazał mu iść za sobą, mówiąc, że zna kryjówkę zbiegłego Benignusa Spiagudrego?

Tutaj dozorca zatrzymał się chwilę, jak gdyby dla nabrania nowych sił, po chwili bowiem mówił dalej głosem płacznego entuzjazmu:

— Dobry kapłan! zacny i cnotliwy anachoreta, spełniający przepisy chrześcijańskiej ludzkości i ewangelicznej miłości bliźniego! A ja obawiałem się powierzchowności, dość dziękuję ci za prawdę, pod którą kryje się tak piękna dusza. A czy zauważyliście, szlachetny panie, jak on to szczególnie wymówił do

mnie:— *Do widzenia!*—gdy wyprowadzał łuczników? Innym razem mogłoby mnie to zaniepokoić; nie pochodzi to jednak z winy tego pobożnego i zacnego pustelnika. Samotność nadaje widać głosowi ten dźwięk szczególny, znam bowiem — tutaj Benignus mówił coraz ciszej— znam pewnego człowieka, który zawsze żyje w samotności, tego straszego... Ale nie, przez uszanowanie dla czcigodnego pustelnika z Lynrass, nie chcę robić tak ohydneho porównania. Jego rękawice także zdawały mi się niezwykle, jest jednak tak zimno, że można je śmiało nosić; słony napój również mnie nie dziwi. Zakonnicy katolicycy zachowują częstokroć szczególniejszą regułę, o picciu zaś morskiej wody wspomina sławny Urensus, zakonnik z góry Kaukazu, w następującym wierszu: *Rivos despiciens, maris undam polat amaram.* — Że to ja sobie nie przypomniałem tego wiersza w przeklętej ruinie Vygl! Lepsza trochę pamięć ochroniłaby mnie od próżnego strachu. Przyszysz pan jednak, że trudno jest mieć swobodne myśli w podobnej jaskini, siedząc za stołem kata! Kata! tego potwora, wzbudzającego wstręt i pogardę powszechną, który różni się od zabójcy wielolicznością i bezkarnością swoich morderstw; tego człowieka, w którego sercu z najstraszliwszem okrucieństwem rozbójników łączy się tchórzowatość, niemożliwa dla samych zbrodni; tego człowieka, podającego ci jedzenie lub nalewającego czarę tą samą ręką, która przed chwilą dotykała narzędzi męczarni, albo gruchotała na torturowym koniu tysiące kości nieszczęśliwych! I jakże tu oddychać tem samem co i kat powietrzem? Najędźniejszy żebrak, gdy go się dotknie ręka kata, porzuca ze wstrę-

tem swoje łachmany, co go od zimy, chorób i nagości zasłaniały. Kanclerz, kiedy przyłoży pieczęć na jego patencie, rzuca go pod stół na znak pogardy i przekleństwa. We Francyi, gdy kat umiera, policyjni pachołcy wołają zapłacić karę czterdziestu liwrów, aniżeli zając jego miejsce. A kiedy raz w Peszcie skazanemu na śmierć Chorchilowi ofiarowano ulaskawienie z warunkiem, aby został katem, on wołał być straconym, aniżeli zostać wykonawcą. A czyż nie godne jest uwagi, że Tarnoryn, biskup w Maestricht, kazał wyświęcić kościół dlatego, że kat wszedł w jego mury? Zapewne wiesz pan i o tem, że królowie Francyi, dla uczczenia swoich rycerzy, postanawiają zawsze, aby ci ostatni tylko ręką ich kolegów karani byli, a to w celu uwolnienia ich, nawet kiedy są występni, od haniebnego zetknięcia z katem. Nakoniec, a to już najbardziej jest stanowczem, że w *Zejściu Świętego Jerzego do piekieł*, opisanem przez uczonego Melasiusa Ithurama, Charon daje pierwszeństwo bandycie Robinowi Hood przed katem Phliperassem. Jeżeli kiedykolwiek dojdę do znaczenia (o czem tylko Bóg jeden może wiedzieć) to niezwłocznie zniosę katów, a przywrócę stary zwyczaj i dawną taryfę. Za zabicie księcia płacić się będzie tak, jak w roku 1150 — tysiąc czterysta czterdzieści podwójnych talarów królewskich; za zabicie hrabiego — tysiąc czterysta czterdzieści talarów pojedynczych; za barona — tyleż półtalarów; zabójstwo prostego szlachcica otaksowane będzie na tysiąc czterysta czterdzieści askalinów; mieszczanina...

— Czy mi się zdaje, że słyhać za nami tętent konia? — przerwał Ordener.

Odwrócili się, a że podczas długiej gadaniny Spiagudrego dzień już zaczynało, mogli przeto rozróżnić człowieka czarno ubranego i dającego im znaki jedną ręką, drugą zaś poganiającego jednego z tych małych, szpakowatych koników, jakie często spotykać można w górach Norwegii.

— Przez litość, panie! — zawołał trwożliwy dozorca — przyspieszmy kroku, bo ten czarny człowiek jakoś bardzo na łuczника wygląda.

— Jak to, starcze, dwóch nas jest przecież i mielibyśmy uciekać przed jednym człowiekiem?

— Niestety, panie, dwudziestu krogulców ucieka przed jedną sową. Czyż przynosi jaką chlubę spotkanie ze sługą sprawiedliwości?

— A któż ci mówi, że to łucznik lub pacholek syndyka? — odparł Ordener, któremu strach wzroku nie odebrał. — Uspokój się, mój dzielny przewodniku, poznaję tego podróżnego. Wstrzymajmy się.

Chcąc nie chcąc, trzeba było usłuchać. W chwilę potem jeździec dogonił ich, a Spiagudry przestał drzeć na widok poważnego i pogodnego oblicza kapelana Anastazego Munder.

Ten ostatni skłonił im się z uśmiechem i zatrzymał swego wierzchowca, rzekł:

— Dla was się wracam, moje dzieci, a Bóg nie pozwoli zapewne, aby moja nieobecność, wynikająca z dobroczynnego celu, przyniosła uszczerbek tym, dla których obecność moja jest tak potrzebną.

— Będzie to dla nas prawdziwym szczęściem — rzekł Ordener — jeśli zdołamy być wam w czem użytecznymi, księżę kapelanie.

— Przeciwnie, to ja, szlachetny młodzieńcze, chcę wam oddać usługę. Czy raczycie mi powiedzieć, jaki jest cel waszej podróży?

— Nie mogę tego uczynić, szanowny kapelanie.

— Pragnąłbym szczerze, mój synu, aby to z twojej strony było wynikiem niemożliwości, a nie wskutek braku ufności, bo inaczej biada mi! biada temu, komu człowiek uczciwy odmawia swego zaufania, choćby go pierwszy raz widział dopiero!

Pokora i namaszczenie pastora żywo dotknęły Ordenera.

— Mogę wam tylko powiedzieć, mój ojeze, — rzekł — że zwiedzamy góry północne.

— Tego się właśnie domyślałem, mój synu i dlatego powracam do was. W górach tych są bandy górników i myśliwych, a spotkanie z nimi niezawsze jest bezpiecznem dla podróżnych.

— A więc? — rzekł Ordener.

— Otóż, wiem dobrze, że nie należy powstrzymywać szlachetnego młodzieńca, który kroczy po drodze pełnej niebezpieczeństw; szacunek jednak, jaki powziąłem dla ciebie, panie, podał mi inny sposób, abym był ci użytecznym. Nieszczęśliwy fałszerz, któremu wczoraj niosłem ostatnią pociechę w imię Boga, był górnikiem. W chwili śmierci dał mi on ten oto pergamin, na którym napisane jest jego imię, mówiąc, że karta ta ochroni mnie od wszelkiego niebezpieczeństwa, gdybym kiedykolwiek podróżował w tych górach. Niestety! na cóż ona może się przydać biednemu księdzu, który żyje i umrze pomiędzy więźniami, i który zresztą nawet *inter castra latronum*, winien szukać ucieczki tylko w swej cierpliwości i modlitwie, jedynej broni

Boga! Jeżeli przyjął tę kartę, to dlatego, że nie chciałem odmową zasmucić serca tego, który w kilka chwil potem, nie mógł już nic przyjąć, ani dać na tej ziemi. Dobry Bóg raczył mnie natchnąć szczęśliwą myślą, że dzisiaj daję ci młodzieńcze ten pergamin. Niech on ci towarzyszy we wszystkich przygodach drogi, a podarunek umierającego niechaj będzie błogosławieństwem dla podróżnika.

Ordener przyjął z rozrzewnieniem dar zacnego pastora.

— Księżę kapelanie—rzekł—niechaj Bóg spełni wasze życzenia! Dziękuję wam. Jednakże—dodał uderzając po szabli—miałem już kartę bezpieczeństwa u swegoboku.

— Młodzieńcze—rzekł pastor—ten nędzny pergamin lepiej może będzie cię bronił, aniżeli twój miecz żelazny. Jedno spojrzenie żałującego za swe grzechy potężniejszym jest niekiedy niż miecz samego archaniola. Żegnam was; więźniowie moi czekają na mnie. Pomódlcie się czasem za nich i za mnie.

— Zacny kapłanie—odparł Ordener z uśmiechem—wszak już powiedziałem, że wasi skazani otrzymają ulaskawienie; jeszcze raz więc to samo powtarzam.

— Nie mów z taką pewnością, mój synu. Nigdy człowiek nie może wiedzieć, co się dzieje w sercu jego bliźniego, nie wiesz i ty zatem, co postanowi syn wice-króla. Może, niestety! nie dopuści do siebie biednego kapelana. Żegnam cię, mój synu. Niechaj Bóg błogosławi twojej drodze, nie zapomnij o starym kapelanie, szlachetny młodzieńcze, a za biednych więźniów westchnij czasami do Boga.



173535/1

ROK XXXV ISTNIENIA.

NAJTAŃSZA I NAJOBITSZA ILUSTRACYA POLSKA

„BIESIADA LITERACKA“

PREMIUM NADZWYCZAJNE:

≡ **12 dużych tomów** ≡
wyborowych powieści i romansów

NAJZNAKOMITSZYCH AUTORÓW POLSKICH I OBCYCH

REDAKTR I WYDAWCA

Michał Synoradzki.

„Biesiada Literacka“ obejmuje wszystkie rodzaje literatury pięknej z powieścią na czele, historię, pamiętniki, podróże, wiedzę gruntowną w formie popularnej, wychowanie, politykę, chwilę bieżącą wszechświatową—słowem wszystko, co stanowi potrzebę umysłu inteligentnego. **Szczególniej uwzględnia dzieje ojczyste i pamiątki narodowe.**

WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie:		na prowincyi:	
Rocznie . . .	rb. 6	Rocznie	rb. 8.
Półrocznie . .	3	Półrocznie	4.
Kwartalnie . .	1 kop. 50.	Kwartalnie	2.

Zagranicą rocznie rb. 10.

Wytworna oprawa powieści, z wyciskami złożonemi na tle barwnem: 3 tomów kop. 50; 6 tomów rs. 1; 12 tomów rs. 2.

Na żądanie administracya wysyła numer okazowy bezpłatnie.

Adres redakcyi i administracyi: **Warszawa, plac Warecki 4.**

N^o telefonu 78-26.